

# DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 3 lutego 1952 r.

Nr 5 (323)

Wojciech WIECZOREK

## BANKRUKTWO RELIGII CZY UPADEK CYWILIZACJI TEOKRATYCZNEJ?

**M**OŻNA dziś uznać za fakt bezsporny, że pośród ogółu intelektualistów katolickich nie ma sprzeciwów co do uznania średniowiecznego ideału cywilizacji chrześcijańskiej za historycznie przeżyty i co do konieczności przyjęcia nowego. Mówiąc jednak o upadku ideału średniowiecznego konstatuje się zazwyczaj — nie zapuszczając się w szczegółowe dociekanie przyczyn — że upadek ten nastąpił w epoce Odrodzenia, że od humanizmu epoki Odrodzenia rozpoczyna się okres „rehabilitacji stworzenia wbrew Bogu”.

Zdaje mi się, że właśnie ten okres tj. okres załamania się średniowiecznego ideału cywilizacji chrześcijańskiej wymaga ze strony katolików gruntowniejszego opracowania i obszerniejszych komentarzy. W przeciwnym razie, w wypadku uchylania się od tego zaangażowania, utrzymuje się w mocy teza naszych światopoglądowych przeciwników głosząca, że upadek średniowiecza i związany z nim kryzys świata chrześcijańskiego nastąpił na skutek historycznego bankructwa idei, która ożywiła wieki średnie (a więc średniowieczny ideał cywilizacji chrześcijańskiej), czyli krótko mówiąc religii chrześcijańskiej. Katolicy nie godzą się z tą tezą, wierząc, że religia chrześcijańska jakkolwiek objawiona w ciągu historii wykracza poza jej ramy znajdując swe źródło w istnieniu Boga. Ale w dialogu światopoglądowym argumenty oparte na wierze nie są komunikatywne dla naszych przeciwników światopoglądowych i byłoby dziwnym, gdyby było inaczej. Istnieje tedy konieczność rozstrzygnięcia zagadnienia na płaszczyźnie rozumu: czy kryzys świata chrześcijańskiego nastąpił na skutek przeżycia się chrześcijaństwa, jak twierdzą krytycy Kościoła, czy też przyczyn tego kryzysu należy się dopatrywać gdzie indziej. Czyli innymi słowy: kryzys chrześcijaństwa, czy kryzys świata chrześcijańskiego spowodowany upadkiem określonego ideału historycznego cywilizacji chrześcijańskiej?

Odkroczenie dla dalszych uwag stanowić będą artykuły Alfreda Gawrońskiego „Jak powstała religia kultury” i „Katolicyzm, kultura, polityka” zamieszczone w 36 (302) i 37 (303) numerze „Dziś i Jutro”. W artykułach tych (szczególnie w pierwszym) jakkolwiek poświęconym przede wszystkim zagadnieniu wzajemnego stosunku kultury i polityki, znajdujemy także interesujące rozważania dotyczące kryzysu świata chrześcijańskiego. Gawroński również jest zdania, że średniowieczny ideał cywilizacji chrześcijańskiej załamał się w epoce Odrodzenia. Ale idzie dalej dowodząc, że jego upadek spowodowany był z kolei przeświadczeniem świata chrześcijańskiego o nie-

zmienności i naturalności istniejącej struktury społecznej, dążącego „z naiwną odwagą dzieciństwa do stworzenia Boga wielkiego zamku obronnego na ziemi — mimo naturalnej struktury społecznej i mimo naturalnych form społecznych, jakie istniały w tym czasie”. Gawroński pisze słusznie, że „w średniowieczu świat był pojmowany jako układ statyczny, jako niezmienny porządek rzeczy, w którym człowiek tkwi, lecz który właśnie wskutek swej niezmienności nie może być przedmiotem twórczości i oddziaływania człowieka”. Dynamikę świata odkrywa dopiero człowiek Odrodzenia, „odczuwa, że jego rozwój wewnętrzny jest związany z rozwojem świata doczesnego angażującego w coraz większym stopniu jego energię duchową. Świat, w którym żyje, nie jest nieruchomym porządkiem, lecz zmienia się, a te jego zmiany nie są przypadkowe, lecz kryje się w nich jakaś głęboka konieczność, której pełne znaczenie człowiek stara się po omacku wykrywać”.

Przytoczone wyżej cytaty są słuszne. Ale nie odpowiadają jeszcze w sposób wyczerpujący na pytanie: kryzys chrześcijaństwa czy kryzys świata chrześcijańskiego? Bo przecież można by powiedzieć, że właśnie chrześcijaństwo kazało widzieć świat jako układ statyczny, a Odrodzenie obalając te poglądy wykazywało fałszywość samych założeń. Postawmy więc dalsze pytanie. Dlaczego świat chrześcijański nie dostrzegł dynamiki rzeczywistości społecznej.

**P**OWRÓĆMY do średniowiecznego ideału cywilizacji chrześcijańskiej, ideału „Sacrum Imperium”. Ideał ten nakazywał chrześcijanom budowanie zamku obronnego dla Boga na ziemi ponad istniejącą strukturę społeczną w uznaniu jej niezmienności i naturalności. Kształtując się w początkach średniowiecza niewątpliwie czerpał uzasadnienie ze szczególnej sytuacji społecznej schyłku świata starożytnego. Zaś sytuacja społeczna tego okresu nie dawała powodów do optymizmu.

Agonia cywilizacji antycznej, a przede wszystkim stosunków społecznych świata starożytnego miała szczególny przebieg. W przeciwieństwie do innych przełomowych epok w historii brak było wówczas perspektyw postępu społecznego, postępu na płaszczyźnie urządzeń ekonomiczno-społecznych. Jego nosicielem nie mógł być z natury rzeczy chylący się do upadku oficjalny świat rzymskich arystokratów, pogardzający pracą, trwonący przy stołach biesiadnych resztki swej godności. A co do społeczne? Milionowe rzesze niewolników, na barkach których wznosiła się cała świetność cywilizacji antycznej? Ideałem społecznym niewolników przygniecionych ogromem nędzy i

upośledzenia, tkwiących w prymitywizmie wytwórczym, był powrót do pierwotnych stosunków plemiennych, w których byli wolnymi ludźmi. Ale te stosunki nie mogły się równać z poziomem osiągniętym przez cywilizację antyczną. Odruchy buntu społecznego ze strony niewolników były więc niejako z góry skazane na niepowodzenie. Nie reprezentowały bowiem dążeń obiektywnie postępowych, których kryterium jest — jak powiada J. Maritain — „posunięcie struktury świadomości i struktury życia ludzkiego ku wyższym stanom”, ale były ekonomicznie, społecznie i kulturalnie konserwatywne. Dlatego też świat antyczny, mimo wyraźnych objawów rozkładu, potrafił poskramiać nawet poważne buntury niewolników np. bunt Spartakusa, którego uczestnicy zawiśli na krzyżach. Śmierć na krzyżu to kres życiowej walki zbuntowanego niewolnika. Z czasem jednak, gdy Krzyż miał być oznaką hańby stał się symbolem nadziei, świat niewolników ujrzał w nim zwiastuna swego wyzwolenia.

Tak więc u schyłku starożytności nie było perspektyw dla realizowania heroizmu społecznego. Nie posiadali ich niewolnicy, tym bardziej nie mogli ich mieć uprzywilejowani, z trudem odpiierający ataki barbarzyńców na granice Imperium Rzymskiego, pozbawieni dopływu świeżych niewolników do pracy w swych latyfundiach, tocząc na od wewnątrz ruinę ekonomiczną i rozkładem moralnym. Dla szlachetniejszych i niezapętlonych jednostek z oficjalnego świata podobnie jak i dla niewolników pozostała wała jedna droga. Droga heroizmu metafizycznego, heroizmu polegającego na „wzniesieniu się ponad materialne sfery tego świata”. Religia chrześcijańska objawiona w tym czasie w odległej Judei znalazła w psychice ludzkiej podatny grunt. Zaś ówczesny ideał cywilizacji chrześcijańskiej przez to, że był ideałem historycznym, a więc uwarunkowanym charakterem epoki, zaczerpnął z rzeczywistości społecznej takie a nie inne tworzywo.

**D**OCHODZIMY więc do genezy średniowiecznego ideału cywilizacji chrześcijańskiej. Tworzył się on w okresie regresu cywilizacji, jaki miał miejsce na przełomie starożytności i średniowiecza, a so ki żywotne czerpał z rzeczywistości społecznej rozkładającego się Imperium Zachodniego.

Ale nasi polemicy mogliby powiedzieć, że owa rzeczywistość społeczna nie tylko uwarunkowała charakter ideału średniowiecznego, ale także sam chrześcijaństwo było produktem tej rzeczywistości. W tej interpretacji chrześcijaństwo uważany byłby za jedyny możliwy na ówczesne czasy postępowy program społeczny polegający na „ucieczce w zaświaty” z nędznej rzeczywisto-

ści, której nie można było naprawić. Stosunek religii objawionej do ideału cywilizacyjnego kształtował by się wówczas jako stosunek przy czyny do bezpośredniego skutku. Czy jest to jednak zgodne z prawdą?

Evangelie nie kształtowały bezpośrednio ideału cywilizacji chrześcijańskiej. Nie kształtowały, gdyż nie było to ich zadaniem. Jakkolwiek nasycone treścią społeczną nie dawały i nie dają bezpośrednich i szczegółowych dyrektyw dotyczących urzędzenia stosunków społecznych. Jeśli powiemy, że urzędzenia społeczne są przedmiotem oddziaływania zasad ewangelicznych, to z tym zastrzeżeniem, że oddziaływanie to odbywa się za pośrednictwem pojęć społecznych poszczególnych ludzi żyjących w danym społeczeństwie. Evangelie nie są metodą realizowania konkretnego programu społeczno-politycznego. Ich niezmienny walor polega na tym, że określają generalny kierunek poszukiwań społecznych. Drogowskazem jest miłość bliźniego, aktualna zawsze w każdym miejscu i czasie. Ale jest rzeczą jasną, że metody jej wcielania w życie są różne, zależne od momentu historycznego. Chrześcijanie obowiązani są więc do poszukiwania tych metod w każdej epoce. Tworzą oni systemy filozoficzne i koncepcje społeczne. Ale ich poglądy filozoficzne i społeczne jako ludzi żyjących w określonych epokach historycznych są uwarunkowane historycznie. Te uwarunkowania wyskają piętno zarówno na systemach filozofii chrześcijańskiej jak i na koncepcjach społecznych związanych z jakimś systemem filozoficznym.

Ideał średniowieczny cywilizacji chrześcijańskiej — jak słusznie za uważał Gawroński w swych artykułach — był społeczną konsekwencją augustynizmu. Ale czy na poglądach św. Augustyna nie odcisnęła piętna rzeczywistość społeczna epoki, w której tworzył biskup z Hippony, a więc analizowana w tej rzeczywistości rozkładającej się światła starożytnego? Pozornie nie. Najważniejsze tezy filozoficzne św. Augustyna nie nawiązywały do rzeczywistości, mówiły o Bogu, duszy, prawdach wiecznych. Pogląd, że filozofia św. Augustyna była w pewnej mierze uwarunkowana przez istniejący stan cywilizacji, można by obalić dowodząc, że jeśli już mówimy o „wpływoch”, w ocenie filozofii św. Augustyna, to przede wszystkim natknęliśmy się na wpływy Platona i jego kontynuatorów. Istotnie św. Augustyn był tym filozofem, który zaczerpnął wiele z poglądów platońskich. Dość wspomnieć, że pod wpływem Platona przyjmuje dualizm życia doskonałego i ziemskiego i rozwijając tę myśl głosi przewagę duszy — pojmowanej jako samotna,

W NUMERZE m. in.:

A. MICEWSKI — Zły prorok i piękna wizja

A. JEŻ — Nieudane zamachy

G. ZILLER — Frans Masereel

B. NOWICKI — O poezji Jana Huszczy

A. ŚWIDERSKA — „Wiek męski” Teatru Rapsodycznego

odrębna substancja — nad ciałem. Konsekwencją tego poglądu była niewątpliwie augustyńska teoria poznania. Jej treścią jest teza, że umysł poznaje najlepiej Boga, duszę i prawdy wieczne. Wszystko co inne, jest przemijające i niegodne poznawania. Poznawanie przyrody np. jest ciekawe, ale daremne — nie odkrywa bowiem prawd fundamentalnych. Na tym wrębie filozoficznym i teoriopoznawczym buduje św. Augustyn swoje poglądy społeczne.

**O**PARCIE się św. Augustyna na Platona nie było rzeczą przy padku. Chorowita cywilizacja antyczna godna była zaiste miana królestwa diabła. Brak ziemskich perspektyw usunięcia zła kierował wiele szlachetnych umysłów ku do skonałości, która nie była doskonałością tego świata. Ubóstwo środków poznawczych i dziecięcy jesh-cze stan wiedzy o przyrodzie i społeczeństwie wyolbrzymiały ciężki kryzys cywilizacji do rozmiarów apokaliptycznej wizji bliskiego końca świata. W świetle tego, walka społeczna o świat ziemskiej sprawiedliwości wydawała się nonsensem i dodajmy, nonsensem wytłumaczonym niedojrzałością warunków ekonomicznych i brakiem rewolucyjnej siły społecznej, która mogłaby tę walkę podjąć. Jedynym zadaniem było więc doprowadzenie do zwycięskiego końca zmagania Kościoła Powszechnego z potężną „civitas terrena”, która mu była przeciwstawiana. Tak sformułowane poglądy filozoficzne św. Augustyna stają się z czasem — mimo stabilizacji życia społecznego w epoce feudalnej i narastania w niej nowych problemów społecznych — ideologiczną motywacją średniowiecznego ideału „Sacrum Imperium” (najjaskrawszym tego wyrazem była walka Papiestwa z cesarstwem o polityczny prymat w świecie średniowiecznym).

Mógłby ktoś powiedzieć, że jeśli augustynizm przyczynił się wcale do przekonania, że struktura społeczna jest niezmienna, czy też nie ważna i że określił kształt średniowiecznego ideału cywilizacji chrześcijańskiej, o tyle tomizm kanonizował niejako rzeczywistość feudalizmu uznając ostatecznie jego naturalność. Często słyszy się zarzuty, że tomizm jest filozofią statyczną. Taka ocena tomizmu jest nie słychanie powierzchowna, świadczy jedynie o braku elementarnej znajomości tej filozofii, której podstawą jest nauka o możliwości i akcie będąca potwierdzeniem dynamiki i zmienności wszystkiego co istnieje. Jedynie Bóg jest czystym aktem, bytem nieskończonym.

Możemy więc dojść do konkluzji, że nie chrześcijaństwo, ale jego społeczna interpretacja w określonych warunkach historycznych uwarunkowała kształt ideału średniowiecznego.

(Dokończenie na str. 4.)

Andrzej MICEWSKI

# ZŁY PROROK I PIĘKNA WIZJA

NA jednym z posiedzeń Izby Ludowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej minister spraw zagranicznych NRD Georg Dertinger, czołowy przywódca CDU we Wschodnich Niemczech, powiedział:

„Zarzucono słusznie narodowi niemieckiemu, że nie miał dostatecznej siły, aby stworzyć ruch oporu przeciw nacjonal-socjalizmowi i jego barbarzyństwu. Inne narody poniosły wielkie ofiary walcząc w ruchu oporu. Teraz przyszła godzina, kiedy także naród niemiecki musi rozwinąć i doprowadzić do przełomu wielki, historyczny i zapewniający przyszłość naszemu narodowi — ruch oporu: oporu przeciw re-militaryzacji”.

W ten sposób młoda Republika niemiecka wskazuje swemu narodowi drogę rehabilitacji. Naród niemiecki przechodzi wielką próbę dziejową, starcie sił starych i nowych Dramat rozbitego narodu niemieckiego rozgrywa się nie tylko na linii granicznej NRD i Trizonii. Właściwy podział biegnie po obu stronach linii granicznej, ma on w poważnym stopniu charakter klasowy, jest także podziałem między dobrem i złem, pokojem i wojną, niedłuzkim zwrotem i najszerzej pojętym humanizmem. Oczywiście NRD jest w dzisiejszych Niemczech podstawową bazą przemiany dla całego kraju, powódzie to przede wszystkim różny od Niemiec zachodnich układ sił klasowych młodej Republiki.

Odpowiadaliśmy sobie wielokrotnie na pytanie, kto ma zdecydować o zwycięstwie także po tamtej stronie linii granicznej, dzielącej sztucznie państwo niemieckie. Zdecydować o zwycięstwie ma młodzież. Na to pytanie daje właśnie szeroką odpowiedź książka Edmunda Jana Osmańczyka pt. „Młode Niemcy”<sup>\*)</sup> której omówienie od dawna już jesteśmy winni autorowi i czytelnikom.

Byłoby co najmniej nierozsądne wyobrażać sobie, że pełne zrozumienie w naszym społeczeństwie przemian zachodzących w Niemczech jest rzeczą nie budzącą wątpliwości, podobnie jak niesłuszne byłoby twierdzenie, że możemy choć na chwilę zaprzestać ciężkiej pracy uświadamiającej opinii publicznej o przełomie jaki się dokonał w Niemczech. Nikt tak dziś nie twierdzi. Ale ogólnikowość polskiej publicystyki na tematy niemieckie wciąż daje się jeszcze zaobserwować. Edmund Jan Osmańczyk jest jednym z tych ludzi piszących o Niemczech, którzy właśnie nie popełniają tego błędu, którzy najbardziej przez swoje „znawstwo” problemu przyczyniają się do szerokiego oddziaływania ich publicystyki. Książka „Młode Niemcy” spełnia postawione jej przez autora zadanie. Tłumaczy genezę, przebieg i rozmiary przemiany młodzieży niemieckiej, uwzględniając sądy ogólne wielką ilością przykładów, faktów i dowodów szczegółowych. Osmańczyk, rasowy publicysta, nie uogólnia żadnej tezy nie opierając jej na faktach wziętych z życia, ale również nie zarzuca czytelnikowi samymi faktami, dając mu ich tło, wyjaśnienie i ocenę.

Autor wiąże organicznie problem młodzieży niemieckiej z ogólną sytuacją Niemiec, dlatego też pierwszą część książki poświęca syntetycznej analizie rozwoju i stanu sytuacji politycznej w Niemczech, a w dalszych partiach książki stale nawiązuje do charakterystyki wydarzeń ogólnopolitycznych.

## ZŁY, ZBRODNICZY PROROK

SYTUACJA niemiecka, pełna tak wspaniałych perspektyw w dniu podpisania układu poczdamskiego, rozwija się w znanym nam kierunku, zupełnego rozbitcia i podziału Niemiec. Co to rozbitcie oznacza w psychice przeciętnego Niemca, ilustruje nam Osmańczyk cytując następujący napis wyryty już w roku 1948 w celi więziennej, w Helmstedt: „Aresztował mnie

Niemiec, za to, że jako Niemiec, szedłem z Niemiec do Niemiec”.

Był w Niemczech zaraz po zakończeniu wojny pewien zły prorok, który usiłował precyzyjnie przewidywać rozwój sytuacji w ciągu następnych lat, był nim nie kto inny, ale sam Herman Goering Osmańczyk cytuje jego zło-wieszcze przepowiednie składane w więzieniu norymberskim, które warto tu powtórzyć, by zwrócić uwagę czytelnika na rodowód dzisiejszej re-militaryzacji i rewizjonizmu, tak mistrzowsko przedstawiony przez Osmańczyka w książce „Młode Niemcy”.

Mówił więc Goering między innymi: „Jestem przekonany, że w sztabie Montgomery'ego znajdują się dokładne opracowania planów wojny ze Związkiem Radzieckim”.

„...Pięć dni przesłuchiwałem Keitla, Jodla i mnie w sprawie możliwości ataku na Związek Radziecki od strony Malej Azji”.

„...Wojna ta stanie się nieunikniona, jeśli mocarstwa zachodnie będą usiłowały połączyć trzy strefy zachodnie w państwo buforowe skierowane przeciwko Związkowi Radzieckiemu”.

„...Potrzebny im będzie wówczas człowiek, dostatecznie silny, by stać się centralną postacią dla wszystkich Niemców. Pomyślą wtedy jeszcze raz o mnie. Niestety nie będę już żył”.

Goering był złym, zbrodniczym prorokiem, a rachuby jego były trafne tylko tam, gdzie stanowiły rodowód dla nowego faszystwu. Poza tym szczególnym wypadkiem wszystkie jego przewidywania były błędne. Istotnie, Amerykanie utworzyli ze stref zachodnich państwo buforowe skierowane przeciwko ZSRR, a następnie znaleźli następców Hitlera i Goeringa w osobach przywódców faszystów zachodnio-niemieckich, ale wojna mimo to nie stała się nieunikniona, bo powstał obóz pokoju na całym świecie, bo powstała wspaniała, odrodzona młodzież niemiecka, o której właśnie Osmańczyk napisał swoją książkę.

## REPORTAŻ RADOSNY

POMOCnym wprowadzeniu ogólnopolitycznym książka Osmańczyka przeraża się w radosny reportaż o nowej młodzieży niemieckiej, po tej i tamtej stronie sztucznej granicy nad Łabą. Największą zaletą tego reportażu jest fakt, że nie zawiera on jakiegos statycznego obrazu wolnej młodzieży niemieckiej z roku 1950, kiedy to autor odbywał swoją wędrowkę po Niemczech, ale że dostarcza bogatego materiału ilustrującego dynamikę rozwoju oraz najgłębsze przyczyny dokonywanej się przemiany. Bardzo ważnym czynnikiem są także fakty i liczby, które podaje Osmańczyk, a które pozwalają nam wyobrazić sobie moralne i materialne warunki kształtowania się psychiki młodego Niemca w różnych częściach jego sztucznie podzielonej ojczyzny.

Osmańczyk podaje np. takie fakty. W maju 1950 roku katolicki miesięcznik w Niemczech Zachodnich „Herder — Korrespondenz” ogłosił bilans pięcioletniej pracy „wychowawczej” zachodnich okupantów: „dwieście tysięcy dzieci nieślubnych, których ojcowie — żołnierze okupacyjni — zostali prawem zwycięscy zwolnieni od obowiązku płacenia alimentów. Ponad milion rocznika spędzeń plodu — rekord w historii Niemiec i Europy, sześćdziesiąt procent przestępstw kryminalnych, popełnionych w Sztuttgarcie przez nieletnich”. Albo dane o studentach bez przyszłości. Dnia 12 kwietnia 1950 roku dziennik brytyjski dla ludności niemieckiej „Die Welt” żąda zmniejszenia liczby uczęcej się w wyższych szkołach młodzieży, ponieważ że 107.000 studiujących „100.000 studiują właściwie na próżno, gdyż nie znajduje pracy w wyuczonym zawodzie”. „W strefie radzieckiej liczbę 44 tysięcy studiujących zamierza się w przyszłym roku podwoić. Dla nas jednak byłoby lepiej, gdybyśmy liczbę zachodnio-niemieckich studentów mogli obniżyć do 40 tysięcy. Wielu mło-

dych ludzi uchronimy przez to od rzezarów”.

Warunki i możliwości rozwoju młodzieży we wschodnich i zachodnich Niemczech nie dają się porównać. Nic więc dziwnego, że dziś młodzież w NRD idzie drogą społecznego odrodzenia, a młodzież zachodnio-niemiecka coraz częściej się wykołaja. Ale byłoby błędem mniemać, że odrodzenie młodzieży niemieckiej od samego początku było łatwiejsze w strefie radzieckiej niż w Niemczech Zachodnich. Bystri obserwator Osmańczyk nie zapomina oczywiście o tym problemie, ilustrując bogato wszystkie różnice dzisiejszego życia młodzieży w obu częściach Niemiec, wskazuje jednocześnie, że w pierwszym, początkowym etapie pracy odrodzeniowej najtrudniejsze zadania i największe kłopoty miał ruch odrodzeniowy właśnie w strefie wschodniej. Wygląda to na paradoks, bowiem każde dziecko dzisiaj wie, że władze tej części Niemiec szły na rękę sprawie przemiany. Ale nie zapominajmy o ciągłych pozostałościach dawnych czasów. Największą trudność wychowawczą w pierwszym etapie w strefie radzieckiej stanowił kompleks antyrosyjski zakorzeniony w narodzie niemieckim przez hitleryzm. Bez rozwiązania zagadnienia rosyjskiego nie można było w Niemczech Wschodnich podjąć jakiegokolwiek pracy wychowawczej. Trudność tę wielkim wysiłkiem przezwyciężono. Ale właśnie największą zaletą książki Edmunda Osmańczyka jest to, że przedstawił on rozwój odrodzenia młodzieży niemieckiej nie w sposób sześciankowy, ale że powiązał go z całą wewnętrzną szarpaniną, z trudnościami, wątpliwościami, jakie przeżywał każdy młody Niemiec przez pierwsze lata, by

wreszcie znaleźć prawdziwą drogę. W każdej części Niemiec, w każdym środowisku klasowym, na wsi i w mieście przemiana ta przebiegała w sposób trochę inny, dla danego terenu specyficzny. Osmańczyk umiał pokazać wszechstronnie i przekonująco przebieg procesu przemiany. Autor przeżywał odrodzenie młodzieży niemieckiej razem z nią, entuzjazmuje się nią, denerwuje przeciwnościami i kontrakcją zachodnio-niemieckiego faszystwu, opisuje wszystko barwnie i bezpośrednio, z dużym talentem publicystycznym, tak że nawet nie zauważymy pewnych czyśto emocjonalnych momentów, które pod piórem innego, mniej utalowanego publicysty raziłyby może mogły zbyt afektacją.

JEDNA dziedzina została pominięta w obrazie Wolnej Młodzieży Niemieckiej, jak nam przedstawił Edmund Jan Osmańczyk. Chodzi o zagadnienie światopoglądowe. Osmańczyk słusznie, choć czasem zbyt ogólniawczo i nie najszczęśliwiej formułując, potępia działalność katolików, zachodnio-niemieckich, wraz z częścią duchowieństwa i hierarchii na rzecz rewizjonizmu i re-militaryzacji. Z książki jego mogłoby jednakże wynikać, że w całych Niemczech nie ma sił katolickich i chrześcijańskich, które są po stronie postępu i pokoju. Siły takie wprawdzie stały jeszcze zbyt słabe, rodzą się zarówno w NRD jak i w Niemczech Zachodnich. Postępowym hasłom dzisiejszego CDU z NRD coraz częściej odpowiadają głosy z Niemiec Zachodnich, szczególnie należy cieszyć się pojawieniem się tam postępowej i ośrodków młodzieży katolickiej skłaniającej się do założeń pokojowych. Brak nam w książce także ustawienia zagadnień

światopoglądowych i religijnych wśród odradzającej się młodzieży niemieckiej.

Natomiast wracając do walorów książki Osmańczyka trzeba podkreślić jeszcze jeden ważny moment. Jest nim doskonale wskazanie przez Osmańczyka roli czynnika klasowego w przemianie młodzieży niemieckiej, a przede wszystkim roli klasy robotniczej i jej partii, która zapoczątkowuje, inicjuje i przewodzi przemianę. Bez klasy robotniczej, i jej partii przemiana ta byłaby niemożliwa. Osmańczyk przekonująco udowodnił w swojej książce tę prawdę.

## PIĘKNA WIZJA

JESLI mówimy o mistrzostwie publicystyki Osmańczyka, to niewątpliwie ostatni rozdział tej książki jest tego kapitalnym dowodem. Osmańczyk przedstawia w nim piękną wizję spotkania Polaka z grupą młodzieży niemieckiej w berlińskim Tiergartenie za lat... X. Niemcy są już zjednoczone na bazie pokojowej i demokratycznej. Młoda dziewczynka Ruth podbiega do Polaka i z dziecinna ciekawością młodej pionierki rzuca mu niespodziewane pytanie: „Powiedz mi, bardzo proszę, Jan, co nas dawniej dzieliło?”

Istotnie trudno o wizję piękniejszą. Książka Edmunda Jana Osmańczyka dostarcza nam realistycznych, faktycznych dowodów, że historia toczy się w tym kierunku, że są dane, aby wizja ta, tak nadzwyczajna dla umysłowości współczesnego Europejczyka, stała się faktem. Trzeba sobie jednakże powiedzieć, że wizja ta musi być realizowana przez ludzi zarówno z tej jak i z tamtej strony granicy pokoju nad Odrą i Nysą Łużycką. Andrzej Micewski

## NOTATNIK POLITYCZNY

# W ONZ nie wszystko dzieje się po staremu

BIEŻĄCA sesja ONZ dostarczyła niemało dowodów wykazujących w jak poważnej mierze sukcesy światowego Ruchu Obróńców Pokoju wpływają na przebieg paryskich obrad. Charakterystyczna jest zwłaszcza zmiana dotychczasowej proamerykańskiej postawy wielu reprezentacji państw kapitalistycznych, które chcąc nie chcąc muszą się liczyć z narastającą presją własnej opinii publicznej. Skoro wzmniemy pod uwagę, że walka o losy świata toczy się obecnie bynajmniej nie na forum ONZ, lecz wszędzie tam, gdzie wola milionów ludzi spragnionych pokoju krzyżuje się z interesami nielicznej grupy inspiratorów nowej wojny — łatwiej docenimy wymowę paryskich wydarzeń. W ONZ bowiem jak wiadomo reprezentacje Związku Radzieckiego i państw demokratycznych ludowej stanowią zdecydowaną ilościowo mniejszość lecz jednocześnie wyrażają wolę setek milionów ludzi skupionych w Światowym Ruchu Obróńców Pokoju. Fakt ten decyduje o stale powiększającym się wyłomie w proamerykańskim bloku zdawałoby się niewzruszenie scementowanym kapitalistyczną więzią.

Nawet najbardziej antypostępowo nastawieni członkowie delegacji kapitalistycznych rządów nie mogą dopuścić do sytuacji, w której istotne potrzeby „reprezentowanych” przez nich narodów byłby wyrażonej bronią przez przedstawicieli formalnie obcych państw niż przez nich samych, znowuż formalnie do tego zobowiązanych. A wobec takiej właśnie mocno niewygodnej alternatywy stawiani byli kapitalistyczni delegaci w efekcie rzeczowych i demaskatorskich wystąpień najbardziej aktywnego rze-cznika interesów sprawy pokoju na VI sesji ONZ — radzieckiego ministra spraw zagranicznych Andrzeja Wyszyńskiego.

Niedawny pobyt min. Wyszyńskiego w Warszawie a zwłaszcza jego rozmowa z delegatami Komite-

tu Obróńców Pokoju w dobitny sposób uwyraźniła problem naszkicowany na wstępie tych krótkich rozważań. Cyfry przytoczone przez radzieckiego gościa i uwydatnione przez niego fakty składają się na bilans, który jest jednym więcej dowodem, iż czynna i zorganizowana walka o pokój może się poszczycić istotnymi rezultatami nawet na tak podległym amerykańskiej hegemonii forum jakim jest ONZ.

„W ubiegłym roku — przypominał min. Wyszyński — za propozycją radziecką w sprawie zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma wielkimi mocarstwami głosowało 5 delegacji, a w bieżącym roku — 11; w ubiegłym roku powstrzymało się od głosowania 5 delegacji, a w bieżącym roku — 13; w ubiegłym roku przeciwko wnioskowi radzieckiemu głosowało 50 delegacji, a w bieżącym roku — 35.” Min. Wyszyński omówił także szczegółowo sprawę t. zw. „komitetu akcji zbiorowych”, wybranego przez blok anglo-amerykański. Według wniosku tegoż bloku do programu komitetu — każdy członek ONZ miałby być zobowiązany do oddania swych sił zbrojnych do dyspozycji ONZ, co ściślej mówiąc oznaczałoby oddanie tych sił do dyspozycji Amerykanów. Polowa krajów Ameryki Łacińskiej i kraje arabskie wypowiadają się „w zasadzie” za rezolucją amerykańską, wniosły jednak do niej tyle poprawek, że w rzeczywistości najzupełniej stępiły jej ostrze. Z rezolucji bowiem skreślone zostały punkty aprobujące sprawozdanie „komitetu akcji zbiorowych” i punkty zobowiązujące członków ONZ do postawienia swych sił zbrojnych do dyspozycji ONZ.

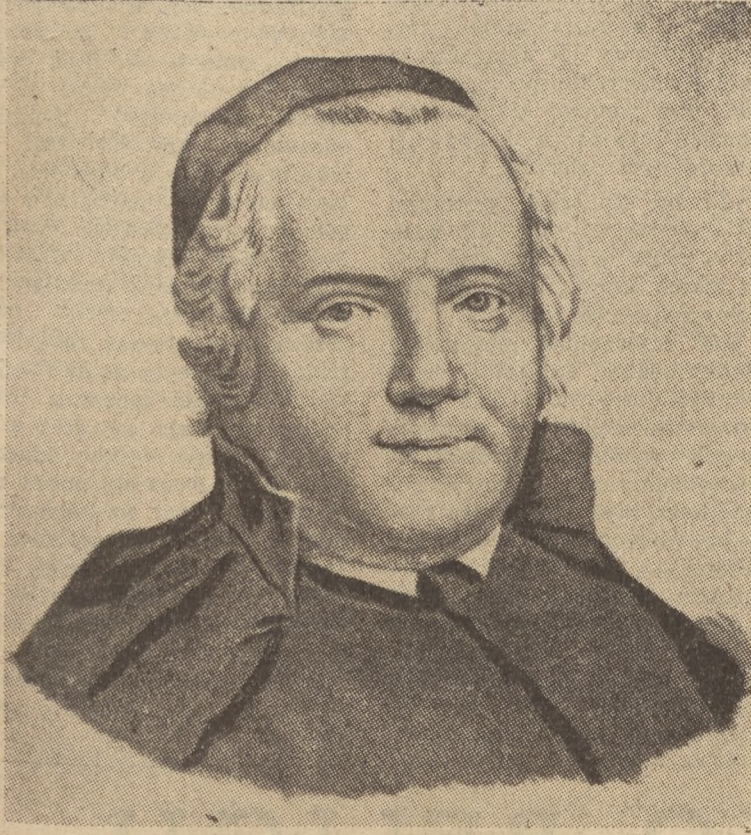
Podobną porażkę odniósł blok anglosaski w wyborach nowych członków Rady Bezpieczeństwa, w trakcie których Amerykanie przez osie mnaście tur nie mogli przeorso-wać kandydatury rzekomo „słowiańskiej” Grecji. Istotnym wreszcie sukcesem przedstawicieli obozu socjalistycznego było przyjęcie przez Komisję Prawną rezolucji do magającej się zdefiniowania pojęcia agresora — czemu bezskutecznie przeciwstawiał się blok anglo-amerykański.

Osiągnięcia delegacji państw socjalistycznych nie mogą być jednak oceniane w oderwaniu od zasadniczego tła paryskich obrad. Ich istotny walor uwydatnia się do piero wówczas, gdy uświadomimy sobie, że przez cały czas trwania sesji dyskutowano niemal wyłącznie nad problematyką narzuconą Zgromadzeniu Ogólnemu przez reprezentantów Obozu Pokoju. Zakaz broni atomowej, ustanowienie międzynarodowej kontroli i redukcji zbrojeń oto czołowa tematyka, wobec której wszyscy członkowie ONZ musieli jasno sprecyzować swe stanowisko. Zdecydowana postawa przedstawicieli Obozu socjalizmu sprawiła, że inspiratorzy nowej wojny musieli bez reszty się ujawnić przegrzywając tym samym w oczach światowej opinii publicznej wielką bitwę stoczoną na forum ONZ. Ci ostrzeżni, mowa tu zwłaszcza o reprezentantach krajów, zależnych, decydowali się na zajęcie stanowisk hamletyzujących (Indie) lub wręcz wrogich Anglosom (Iran, Egipt). Obiektywnie rzecz biorąc oba te rodzaje stanowisk wzmocniły pokojową batalię i faktycznie przyjął linię reprezentowanej przez delegację Związku Radzieckiego i demokracji ludowej.

\*) Edmund Jan Osmańczyk: „Młode Niemcy”, Czytelnik 1951.

Na marginesie książki J. NOWAK-DŁUŻEWSKIEGO

## O WŁAŚCIWĄ MIARĘ DLA KONARSKIEGO



**D**ATY urodzin i zgonu księdza Stanisława Konarskiego ze zgrupowania Scholarium Piarum, 1700 — 1773, tworzą okres mieszczący w sobie procesy i wydarzenia, które zaważyły na losach narodu na lat przeszło dwieście. W ciągu tych siedemdziesięciu trzech lat długiego życia, z których sześćdziesiąt przeszło wypada na mroki epoki saskiej, zaplanowała w Polsce ciemnota i zabobon, ostatecznie zdzičila okryta klasycznymi pozorami kultura, dojrzał i wydał owoc proces anarchizacji państwa (pierwszy rozbiór 1772). Epoka to smutna, w końcowych dopiero latach rozjaśniona nadziejami lepszej przyszłości. Do lat sześćdziesiątych rozświetlają ją tylko nazwiska dwóch Stanisławów: króla Leszczyńskiego, autora „Głosu wolnego wolność ubezpieczającego” i księdza Konarskiego, pedagoga, reformatora języka, publicysty i czynnego nawet polityka.

Jakżeż dzisiaj, z perspektywy dwu stuleci ocenić można działalność publiczną księdza Stanisława? Jakie było jego oblicze polityczne? Czy był Konarski wielkim człowiekiem — czy może wybitnym tylko? Pytaniami tymi zajmuje się również p. Juliusz Nowak-Dłużewski, autor ostatniej monografii o Konarskim. Lektura tej książki stała się powodem artykułu, dotyczącego — zdaniem jego autora — problemów wartych dyskusji.

Zanim zajmniemy się osobą pijara, przyjrzyjmy się najpierw epoce, w tych rozmiarach naturalnie, na jakie pozwalają szczupłe łamy tygodnika.

Szlachta jest w państwie wszystkim. Miasta upadłe i bezwolne, chłop na dnie nędzy i upodlenia, szlachcic na urzędzie, szlachcic prałatem, szlachcic w sejmie, szlachcicowi tylko przysługuje pełnia praw publicznych i prywatnych, szlachcic wreszcie prawie jedynie ma dostęp do oświaty i do nauki. Niestety! — poziom nauczania i wychowania nie odpowiada zupełnie zadaniom społecznym, które czekają młodego sarmata w życiu późniejszym. Wyniósłszy z domu rodzicielskiego przekonanie o bezcennej wartości swego szlacheckiego klejnotu, umiejętność czytania i pisanie, przyzwyczajenie do karnego i bezdusznego wypełniania niezliczonych praktyk religijnych oraz bezwzględne uzna-

wanie hierarchii i autorytetu, poparte wielokrotnym zasmakowaniem batoga — idzie młody człowiek do szkoły jezuickiej lub pijarskiej. Siedzi w niej wiele lat nad gramatyką łacińską przysłowiowego już w Polsce Alwara, uczy się wygłaszać mowy powitalne, pożegnalne, pochwalne, mowy pogrzebowe i weselne, mowy sejmikowe i trybunałskie. Kiedy nauczył się już każde głupstwo powtórzyć po łacinie, uczy się „logiki”. Rozstrzyga problemy, czy człowiek, jako człowiek, istnieje na świecie? Czy piec może być kozą? Przy każdej okazji bierze tegie bity, co jednak nie przeszkadza, że wyrasta na awanturnika i warcholę. Czytamy u Kołłątaja: „...Pamiętni na barbarzyńskie kary rozumieci studenci, że doszedłszy do retoryki godzi im się odszkodować przez wielorakie zuchwałstwa profesorem wyrażane”.

Potomek krwi zacnej skonczywszy szkołę idzie do palestry lub zaczyna u boku ojca, a częściej wielkiego pana, karierę polityczną. Spija się z socjuszami i rąbie z przeciwnikami politycznymi. Gardkuje na sejmikach, przekupuje wyborców, handluje urzędami, wleży w „żrenice wolności”: liberum veto i elekcję, jak w Trójcę św. Jest przekonany, że jako szlachcic i wierny katolik, jest szczególnym przedmiotem uwagi Opatrzności, odbywa częste pielgrzymki, wiele godzin dziennie poświęca praktykom religijnym. Niekiedy niewoli poddankę, prawie zawsze pogardza mieszczaninami i najczęściej traktuje chłopów gorzej bydłami. Żeni się wreszcie z możliwie jak największym posagiem i płodzi durniów podobnych sobie.

**SZLACHCIC** sarmata to umysłowość obca zainteresowaniom rzeczowym, hołdująca retoryce i beztreściwej dialektyce, pełna czci dla pustego, werbalistycznego argumentu, ograniczona i rozgadana zarazem. Zrywając sejm gada o „bonus publicum”, najeżdżając sąsiada — o sprawiedliwość boskiej, zabiłając w pojedynku — o Opatrzności. Kiedy umrze, mowy nad trumną będą trwały godzinami, a wypisana na atlasie konkluzja żałobna będzie dumnie opiewać: „stāt magni nominis umbra” tak jak to wypisano nieznanemu nikomu prócz współpawietników stolnikowi brzeskiemu. Jest sporo słuszności w oskarżeniu, że szlachta państwo przepiła — równie praw-

dziwe będzie zdanie, że szlachta Polskę przegadała.

Był ksiądz Konarski w pewnym okresie życia nieodrodnym dzieckiem swej epoki i swego stanu. W pewnym sensie do końca życia nim został — będzie o tym mowa później. Syn kasztelana drażkowego, syn postaci usytuowanej społecznie i rodzinnie gdzieś pośrodku między szlachtą zamożną a magnatami, musiał wynieść z domu rodzicielskiego pewne charakterystyczne dla kultury szlacheckiej przymioty. Wyraziły się one w pierwszych przejawach jego literackiej twórczości. W roku 1721 czcił ingres Piotra Tary do kolegiaty warszawskiej mową „Consul et pontifex”, w rok później żegna tegoż Tary mową pośmiertną „Anima consiliorum”. W roku 1723 wita na stolicy biskupiej warszawskiej Jana Tary panegrykiem „Angelus posnaniensis”. Wygłasza mowę nad trumną Dönhoffowej i na weselu Wielopolskiego. Przypisuje im wszystkim wszystkie możliwe cnoty, wielbi zacność krwi płynącej im w żyłach, czci zasługi przodków. Jest typowym gadaczem saskich czasów. Rok 1725 przynosi nagłą zmianę i stawia barierę na niebezpiecznej dla przyszłego reformatora drodze. Konarski jedzie na studia do Rzymu i do Paryża.

Zważywszy dotychczasową działalność literacką pijara, śmiało można twierdzić, że bez paroletniego pobytu zagranicą Konarski nie byłby nigdy tym, kim został. Jest on dowodem, jak bardzo była zafocana Polska pod Sasami w porównaniu do kwitnącego nauką Zachodu. Do wyłamania się spod zatechnego sarmacko-saskiego szablona myślowego nie starczało potencjalnej inteligencji popartej szerokimi możliwościami praktycznymi wynikłymi z wysokiego usytuowania społecznego. Dopiero Kartezjusz i Gassendi nauczyli księdza Stanisława poprawnie myśleć, Pascal i Malebranche rozszerzyli świat wiary, Locke, Fleury i Rollin udowodnili, że pedagogika jest nauką, Cornelle i Racine pokazali sposób ścisłego przekazywania uczuć i sądów. O nich wszystkich w kraju ledwie że nie słyszano.

**R**OK 1730, data powrotu Konarskiego do kraju, otwiera nowy okres w życiu przyszłego reformatora. Pięć lat pobytu za granicą wystarczyło do zaznajomienia młodego człowieka ze stanem współczesnej nauki, nie wystarczyło natomiast do pełnego ich przetrzeźwienia, do optymalnego uformowania poglądów, do konsekwentnego przetransformowania ich na działalność praktyczną. Do osiągnięcia tego konieczna była głębsza konfrontacja z polską rzeczywistością. Nastąpiła ona na odcinku publicznym przez redagowanie monumentalnego wydawnictwa Volumina Legum, co dało Konarskiemu okazję do poznania dziejów polskiego nierządu, na odcinku pedagogicznym przez wizytowanie prowincjonalnych domów pijarskich.

Reformatorską pracę na wielką skalę rozpoczyna Konarski w 41 roku stulecia, a zarazem i życia. Powstaje Collegium Nobilium, szkoła dla młodzieży szlacheckiej, zupełnie nowego typu. Rzecz ważna i charakterystyczna — jest to szkoła właściwie dla synów magnackich: konwikt nadaje jej cechy ekskluzywności a wysokie opłaty uniemożliwiają kształcenie w niej synów nawet zamożnej szlachty. Dla przykładu: w publicznej dyskusji odbytej w Collegium Nobilium w roku 1757 na dziesięciu uczestniczących w

w niej uczni było trzech synów senatorskich, trzech starościców i trzech synów urzędników ziemskich, zapewne bardzo zamożnych. Nie byłoby też Collegium Nobilium spełniło tak wielkiej roli, gdyby się Konarski do niego jednego ograniczył.

Collegium było wprawdzie szkołą elitarną, ale zarazem szkołą wzorową, której doświadczenia posłużyły Konarskiemu za podstawę do szerokiej reformy całego szkolnictwa pijarskiego; cele jej ogólnie biorąc nakreślił Konarski następująco: „Celem wszystkich szkół, a z pewnością szczególnie tego Collegium Nobilium, jest nie tylko rozwijanie umysłów za pomocą nauk i umiejętności, lecz przede wszystkim uszlachetnienie serc i dusz... „Kształcić i wychowywać ich (uczni) na ludzi prawych i szlachetnych, dobrych obywateli państwa, wiernych królowi, pożytecznych dla społeczeństwa, pobożnych i cnotliwych chrześcijan jest rzeczą o wiele ważniejszą i większą dla nas zasługą i chlubą i większym naszym obowiązkiem aniżeli urabianie wielkich mówców, poetów, matematyków i filozofów”. Program jest oczywisty — szkoła pijarska ma kształcić dobrych obywateli — nie znaczy to, by filozof lub matematyk był społecznie szkodliwi. Przez zadanie to należy rozumieć tendencję do zerwania ze spekulatywną, oderwaną od związków społecznych treścią nauczania co stosowane na wielką skalę produkowało tylko wyžadanych, nikomu nie potrzebnych nleuków.

Ulega również pewnym zmianom ideał moralny wychowania. Wychowanie pijarskie ma być oczywiście wychowaniem religijnym, katolickim. Nie chodzi jednak Konarskiemu o zachowanie dotychczasowego typu religijności — przeciwnie, zwalcza ją. Religijność pozytywna ma się wyrażać wysokim poziomem moralnym wychowańków, popartym głębokim praktykowaniem, a nie bezdusznym i pompacyjnym wypełnianiem obrzędów. Konarski ogranicza wystawność uroczystości religijnych, zakazuje wprowadzania nowych, zaprowadza w konwiktach „czytania duchowe” najbardziej wartościowych autorów. Poziom religijności ówczesnej domagał się gwałtownie reformy. Jeden z pamiętnikarzy epoki stanisławowskiej przekazał nam typ zamożnego i wykształconego szlachcica, wychowanego jeszcze w dawnych szkołach. Bohater wspomnienia jest tak przyzwyczajony do bezustannego klepania w myśl pacierzy, że nie przerywa ich nawet grając w karty. Zdarzało się nieraz, że w chwili szczególnie emocjonującej (np. tracąc lewe) wykrzykiwał: „błogostawiona między niewiastami”, lub inny jakiś fragment aktualnie odmawianej modlitwy.

**N**IE tylko cele wychowania, lecz również i środki ulegają reformie. Dydaktyka rezygnuje z metody włączania siłą w mózg ucznia niezrozumiałych najczęściej dla niego treści. Pamięciowe obkuwanie zastępuje zasada rozumienia. Nauczyciele „swoim sposobem postępowania niech jawnie ukazują młodzieży, że ją kochają i że chcą być przez nią kochani...” „bo gdy chłopcy wychowawcę lekceważą czy nienawidzą, cała jego praca idzie na marne”. Ma zniknąć ze szkół pijarskich typ nauczyciela „dzierżykija, kata, i rzeźnika” po to rzecz prosta, by w życiu społecznym katów i rzeźników nie było.

Przeprowadzenie reformy nie było łatwe: opory i intrygi wśród samych pijarów, agitacja przepro-

wadzana przez współzawodniczących z pijarami jezuitów, trudności w Rzymie — wszystko to pokonał Konarski z podziwu godną wytrwałością i umiejętnością. Triumf Konarskiego był zupełny a miarą jego była reforma szkolnictwa również pozapijarskiego. Ostatecznym ukoronowaniem wysiłków pijara na polu wychowania było utworzenie w roku 1773, w roku jego śmierci, Komisji Edukacyjnej.

Spśród licznych publikacji Konarskiego dwie szczególnie wywarły wpływ na ówczesnych i zasługują na uwagę. Jedną z nich to „De emendandis eloquentiae vitis” (O poprawie wad wymowy), książka wydana w roku 1741, która stała się zasadniczym drogowskazem dla nauczycieli retoryki w reformowanych szkołach. Kto wie, jaką rolę odgrywało w Polsce XVIII-wiecznej mówione słowo, ten oceni jej doniosłość. Książka ta pozornie tylko zwrócona jest przeciw usterek, przerosom i zwyrodnieniu formy, jej istotne znaczenie polega na zwalczaniu braku treści, pustki myślowej kryjącej się pod markigianą wprost arabską słów barokowego języka. Językowi przywrócone zostało jego naturalne zadanie wyrażania myśli. Wydałąc to dzieło nie był Konarski w dziedzinie reformy języka pierwszy w znaczeniu chronologicznym, ale był z pewnością pierwszy, który z taką celnością i tak skutecznie rozprawił się ze złymi nawykami.

**N**AJWAŻNIEJSZYM dziełem była książka Konarskiego „O skutecznym rad sposobie albo o utrzymaniu ordynaryjnych sejmów”.

„Skuteczny rad sposób” jest krytyką istniejącego w Rzeczypospolitej ustroju politycznego i projektem jego ulepszenia: głównym przedmiotem uwagi Konarskiego jest niedochodzenie sejmów, w czym słusznie widzi podstawową niedomogę państwa. Z całą właściwą swą twórczością pasją polemiczną uderza pijar w „niechęć formę rad”, „w jednego nietykane go i straszego bałwana — liberum veto”, w tę najbardziej zropiałą, bolączkę polskiego życia politycznego.

Uchwały sejmowe małą przechodząc większością głosów, z wyjątkiem wyborów większość ta ma być kwalifikowana — jest to oczywiście postulat postępowy i konieczny dla naprawy ustroju, ale projekty reformatorskie Konarskiego nie ograniczają się jedynie do terenu parlamentu. Konarski opracowuje cały nowy szkielec ustroju politycznego państwa. Charakteryzując jak najkrócej jego najistotniejsze cechy podkreślić należy ograniczenie władzy królewskiej i wzrost znaczenia szlacheckiego samorządu prowincjonalnego. Królowi, w/g Konarskiego winno być odjęte prawo rozdawania wakujących krzesel w senacie, a przyznane jedynie prawo mianowania san dydatów wysuniętych przez szlacheckie sejmiki.

Czy był to istotnie skuteczny sposób naprawy Rzeczypospolitej? Zniesienie liberum veto było konieczne — ale reszta? Nie chodzi tu o szczegóły, wiele konkretnych projektów Konarskiego uderza

(Dokończenie na str. 4.)

**W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH**  
„DZIŚ I JUTRO”  
drukować będziemy  
tłumaczoną z jęz. niemieckiego  
pracę Józefa Piepera  
„O ŚW. TOMASZU  
Z AKWINU”

# O WŁAŚCIWĄ MIARĘ DLA KONARSKIEGO

swoją trafnością; chodzi o ogólną linię, chodzi o wykrycie głównego kierunku postulowanej przez Konarskiego reformy, co jest konieczne dla oświecenia samej postaci pijara. Odejmując królowi resztkę jego prerogatyw i osłabiając tym samym jego wpływ choćby nawet czysto osobisty — (przykładem Stanisław August) na działalność obsadzonych przez magnatów władz państwowych — przesuwał ciężar znaczenia politycznego na stronę mas szlacheckich i działał na rzecz demokracji — szlacheckiej oczywiście. Tak wygląda projekt reformy na pierwszy rzut oka. W istocie jednak ewentualne wprowadzenie projektów Konarskiego w życie nie miałyby nic wspólnego z demokracją, nawet szlachecką. Pod jej pozorami rządziła w Polsce XVIII-wiecznej oligarchia, trzęsąca zupełnie do woli szlacheckimi sejmikami. Jedynym czynnikiem utrzymującym jaką taką równowagę był król, którego rola w projekcie Konarskiego ulegała zmniejszeniu. Nie tędy wiodła droga do uzdrowienia Rzeczypospolitej, aczkolwiek zniesienie liberum veto było tego uzdrowienia kamieniem węgielnym. W projekcie reformy Konarskiego tkwiła wyrażona na sprzeczność polegająca na przyjęciu demokratycznej formy ustroju przy (szeroko uwarunkowanej) politycznej wszechmocy magnatów. Świadomość tych sprzeczności wystąpiła dopiero w publicystyce epoki sejmu czteroletniego. Konarski widział i znał dobrze absolutystyczny system rządów we Francji i zapewne przypatrzawszy się mu zapragnął wzmocnienia i ulepszenia rządów w Polsce. Nie poszedł jednak drogą wzmocnienia władzy królewskiej, tylko drogą uczynienia pełnym suwerenem narodu szlacheckiego i uporządkowania jego organów działania.

**C**ZY Konarski nie widział panoszącej się w kraju oligarchii, czy też stanowisko tego podyktowane było realizmem politycznym ostrzegającym go, że przy tym stanie umysłowym, przy tych warunkach zewnętrzno-politycznych i przy takim monarchizmie inne rozwiązanie nie miałyby żadnych widoków powodzenia?

Pierwsze przypuszczenie jest oczywiście nonsensowne. Co do drugiego — tenże realizm, który jakoby kazał mu podyktować takie właśnie rozwiązanie, ostrzegłby go również o praktycznych skutkach wprowadzenia proponowanej reformy bez uprzedniego ujęcia politycznej wszechmocy prowincjonalnych królewiat. Konarski utopiście nie był. Co więcej, znalazło się w „Skutecznym rad sposobie” zdanie świadczące o zdolności przewidywania Konarskiego w tym względzie. Pisze on mianowicie, że przy zasadzie przechodzenia uchwalał większością głosów „większą szlachty liczbę sobie obowiązać każdy o co starający się musi lub jak utrzymujący interes” i oczywiście ma na myśli magnackich, sejmikowych naganaczy. Autor monografii o Konarskim przypuszcza, że argument ten w samym Konarskim budził wstręt i użyty został tylko dla celów propagandy za zniesieniem liberum veto. Niekoniecznie.

Z drugiej strony nie zapominajmy, że liberum veto, stosowane coraz częściej i rozrastające się coraz bardziej, uniemożliwiło w rezultacie konkurującą o władzę stronictwom magnackim jakąkolwiek efektywność ich politycznych dążeń. Narzędzie przerosło użytkownika. Zniesienie wolnego „nie pozwalam” nie tylko było koniecznością państwową, lecz leżało również w interesie samych oli-

garchów. Familia bodaj zrozumiała to dosyć wcześnie; gotowa zrezygnować z wykorzystywania liberum veto, nie miała wcale zamiaru rezygnować z wpływania znanyymi sposobami na głosy sejmikującej i sejmującej szlachty — dopóty dopóki istniał formalnie ustrój demokracji szlacheckiej. —

Zważyć wreszcie należy rodzinne i towarzyskie koneksje Konarskiego, a zwłaszcza jego działalność polityczną zarówno na odcinku szkolnym jak i publicznym w szerszym znaczeniu. Konarski nie tylko widzi oligarchię, on nawet na nią stawia. Sporadycznie wprawdzie, ale jednak angażował się czynnie po stronie Familii. Zaśługą jego jest, że z dwóch możliwych partii magnackich wybrał tę, na której Polska mogła wyjść lepiej. Wybrał bardziej światłych. O stawianiu na magnaterię świadczy jeszcze bardziej jego działalność na polu pedagogicznym. Reforma szkolnictwa pijarskiego nie była przeprowadzona na zasadach demokratycznych. Szkolnictwo publiczne pijarów zostało ulepszone, ale cała uwaga Konarskiego sku-

(Dokończenie ze str. 3)

pię się przede wszystkim na nowoczesnym, świetnie prowadzonym, lecz elitarnym Collegium Nobilium. Sprawa reformy nabierała dla autora tego artykułu nieco osobliwego smaku. Konarski kokietuje masy pozornie demokratycznym (w wydaniu szlacheckim) projektem, w rzeczywistości aprobując hierarchiczny ustrój społeczny i polityczny a przywódców wychowuje sam, i to dobrze wychowuje, w Collegium.

Dopóki dalsze badania nie dostarczą dowodów przeciwnych, będzie naukowo poprawnym twierdzenie, że poza projektem Konarskiego nie kryły się dążenia do zmiany tam ustrojowych, a tylko do uporządkowania życia politycznego zgodnie z zasadniczą, dotychczasową jego tendencją rozwojową. Wprowadzenie w życie reformy proponowanej przez pijara byłoby na pewno aktem postępu, ale na pewno nie byłoby aktem demokratyzacji, rozumianej bardziej współcześnie. Konarski nie

należy do tego samego szeregu co Koliątka i Staszic. Ci dwaj, dużo zresztą od Konarskiego skorzystawszy, chcieli czegoś więcej; rozumieeli, że do naprawy Rzeczypospolitej nie wystarczą zmiany formalno-ustrojowe i że konieczne są zmiany strukturalno-społeczne. Konarski chce poprawy systemu, ale w ramach jego zasadniczych strukturalnych założeń.

**C**ZY był Konarski wybitnym człowiekiem, czy może wielkim? — genialną osobowością, jedną z takich, które „nie są dziełami swych epok, ale jej twórcami”? (by się nie rozdrabniać, przyjmijmy że indywidualne tworzenie epoki jest w ogóle możliwe). Śmiało można odpowiedzieć, że był osobowością tylko wybitną, co jednak nie odejmuje z ogromu zasługi pijara. Polska zawdzięczała mu wiele — bez reformy szkolnictwa i bez „Skutecznego rad sposobu” wyjście z mroków saskich byłoby bardzo utrudnione. Konarskiego na pewno cechowała duża inteligencja, odznaczał się dużą spostrzegawczością polityczną i wybitnym talentem organizacyjnym, brakowało

mu jednak oryginalności. Nic nie zapowiadało wielkiego pedagoga w czasie jego pobytu w kraju — reforma szkolnictwa był przecież recepcją zdobyczy myśli europejskiej, recepcją odważną i przeprowadzoną zresztą w trudnych warunkach, ale niczym więcej. W dziedzinie publicystyki politycznej okazuje się nam Konarski bądź jako utalentowany polemista, bądź jako sumienny, metodycznie szczegółowy projektodawca. Brak mu jest jednak twórczej wyobraźni, brak tego rodzaju cechującej geniuszy fantazji, która potrafi przewidywać procesy rozwojowe i rzutować projekty na daleką przyszłość. Wartość koncepcji Konarskiego skończyła się wraz z jego epoką, w dość wąskim znaczeniu tego słowa. Konarski nowej epoki nie stworzył, był ogniwem przejściowym. Miarą jego wielkości jest wartość dokonanego dzieła życiowego, jest społeczna wartość wychowania pokolenia, które rozpoczęło dzieło naprawy Rzeczypospolitej. Jest to zasługa ogromna, ale nie świadcząca jeszcze o genialności. A. Z.

## BANKRUCTWO RELIGII czy upadek cywilizacji teokratycznej?

(Dokończenie ze str. 1)

Wniosek idealistyczny jest mniemane, jakoby Reformacja była przyczyną kapitalizmu, jakkolwiek nie wątpliwie torowała mu drogę. Reformacja była dziełem tych samych sił społecznych, które w dalszej perspektywie obaliły władzę „Ancien Regime'u” i ugruntowały kapitalizm. Wystąpienia Lutera i Kalwina były tylko kropką na i, jeśli chodzi o krzyż światła chrześcijańskiego.

Można by więc sformułować drugą konkluzję tego artykułu. Będzie nią stwierdzenie, że chrześcijaństwo jako religia nigdy się nie przeżyła, nigdy nie zaprzeczała postępowi. Ale postępowi społecznemu przeszkadzała niewątpliwie schyłkowa forma średniowiecznej koncepcji ideału cywilizacji chrześcijańskiej. Życie społeczne bowiem, które jest zawsze dynamiczne, wyszło poza granice zakreślone ideałem średniowiecznym cywilizacji chrześcijańskiej. Przeszło nad nim do porządku dziennego w poszukiwaniu własnych dróg, które znalazły się poza kręgiem oddziaływania chrześcijaństwa skrupowanego szablonem tego ideału, stawiało przed ludźmi nowe zadania, które były zadaniami społecznymi i polegały na zmianie istniejącego systemu urzędzeń społecznych. Innym słowem powstała konieczność uwzględnienia w cywilizacji autonomii czynnika doczesnego. Mówiąc o autonomii czynnika doczesnego nie mamy na myśli jego niezależności od czynnika nadprzyrodzonego; chodzi tu o uznanie odrębności a zarazem znaczenia celu doczesnego przy podporządkowaniu jego czynnikiowi nadprzyrodzonemu. Uporczywe nieuwzględnienie tej autonomii przez katolików było przyczyną kryzysu światła chrześcijańskiego. Nie był to przyczyną akt rozbięcia religijnego. Rozbięcie religijne jako jaskrawy objaw kryzysu było konsekwencją niezrewidowania na czas ideału średniowiecznego cywilizacji chrześcijańskiej w sensie uwzględnienia autonomii czynnika doczesnego.

**T**RZEPA było przewlekłego kryzysu światła i pogłębiającej się dechrystianizacji. By katolicy dojrżeli konieczność wypracowania nowego ideału cywilizacji i zerwa-

zostają jednak rzeczami i stąd realnościami na szczeblu zasadniczo niższym niż osoby, których stosunki i wzajemne życie regulują”. („Humanisme intégral”).

W tym ujęciu ocenie podlegają „rzeczy ludzkie” — a więc „struktury społeczne, instytucje, prawa i zwyczaje, organizacja ekonomiczna i polityczna”. Ich wartość, ich wewnętrzna „katolickość” t. zn. zgodność a co najmniej niesprzeczność z wymaganiami moralności chrześcijańskiej oraz adekwatność do ekonomicznych i socjalnych wymagań epoki, stanowi kryterium ideowo-polityczne zaangażowania. Nie jest istotne — choć może dla katolika żenujące i przykre — że formalnie wypracowano je poza kręgiem chrześcijańskiej myśli społecznej.

Te wymagania społeczne i ekonomiczne epoki stwarzają dziś dla świata szczególną szansę. Są więc też szansą dla katolików, którzy do niego przynależą i których obowiązkiem jest branie udziału w jego trudach i walkach. Ta szansa jest świadomością i możliwością budowy systemu urzędzeń społecznych, który by realizował powszechną równość i sprawiedliwość. Tym zaś, którzy nie mogą, czy też nie chcą pojąć tej wielkiej szansy, którzy zasnają się słowami Chrystusa „ubogich zawsze między sobą mieć będziecie” deklarują swój sceptycyzm wobec celu społecznego, jaki sobie ludzie dziś stawiają, niech od powie Jakub Maritaïn:

„Te słowa znaczą przeciwnie: Chrystus sam nie będzie zawsze z wami, ale rozpoznacie Go w osobach biednych, których macie kochać i służyć im jak Jemu samemu. Nie jest tu wskazana klasa społeczna, ale ludzie, którzy potrzebują do życia pomocy innych bez względu na naturę, źródło i powód ich niedostatku. Dopóki istnieć będą klasy i kasty uciskane w ich szeregach przede wszystkim poszukajcie ich miłości, jeśli kiedyś znikną, znajdziecie ich jeszcze wszędzie tam, gdzie będą. A ponieważ ich umiło wała, chce, by nastąpił dzień kiedy nie będzie klas ani kast uciskanych”. („Humanisme intégral”).

Oby jak najwięcej katolików przyjęło te słowa jako swoje osobiste zobowiązanie.

Wojciech Wieczorek

Alfred JEZ

# NIEUDANE ZAMACHY

**P** PRZEGLĄDAJĄC dwutomową biografię przywódcy ruchu antyfaszystowskiego i redaktora organu emigracji włoskiej „Giustizia e Libertà”, Karola Rosselli, opracowaną przez Aldo Garosci<sup>1)</sup>, stwierdza się ze zdziwieniem, jak niedołążnie była prowadzona we Włoszech walka z faszyzmem, jak niewystarczające były jej środki materialne, z jaką naiwnością uczestnicy jej padali ofiarą prowokatorów i agentów tajnej policji faszystowskiej.

Z początku faszyzm nie wykazywał jeszcze specjalnych zdolności w zwalczaniu przeciwników. Skupili się oni przeważnie w ośrodkach własnej emigracji w Paryżu i w południowej Francji w organizacji Avanguardia Garibaldine kierowanej przez dwóch wnuczków Garibaldiego: Peppina i Riccio (ten ostatni przeszedł później na żołąd tajnej policji). Tam też powstała myśl zamachu na życie Mussoliniego i wyzwolenia Włoch.

Ministerem spraw wewnętrznych był wówczas we Włoszech Federzoni, późniejszy prezes akademii nauk, należący do odłamu masonerii ującej Mussoliniego, odznaczający się większym talentem naukowym niż administracyjnym. On to wysłał do Paryża komisariata policji Lapolla dla zbadania działalności owej „Awangardii” oraz z poleceniem wywołania akcji prasowej, która zwróciłaby uwagę francuskiej opinii publicznej na niebezpieczeństwo tolerowania tego rodzaju organizacji w granicach. Lapolla nie znając jednak języka francuskiego, w tajemniczył w swą miśję kilku rodaków, którzy wydłuzali od niego duże sumy pieniędzy za artykuły, jakie miały rzekomo ukazywać się w dziennikach paryskich.

## METODY WŁOSKIEJ POLICJI

**N**IEDŁUGO potem utworzono we Włoszech specjalny komisariat, wyposażony nie tylko w pierwszorzędną personel policyjny, ale i ogromne fundusze, mające służyć głównie przekupywaniu przeciwników oraz zwiększaniu listy zdrójców i prowokatorów. Twórcą owej organizacji, z której wyrosła potem znienawidzona przez wszystkich OVRA<sup>2)</sup> był dyrektor policji Artur Bocchini, ulubieniec Mussoliniego, jeden z najbardziej przebiegłych jego współpracowników. Niskiego wzrostu, otyły, o twarzy nalanej i bezczelnej, śmiejących się małych oczkach, był Bocchini typowym włoskim „furfante”. Niezrównany kompan przy wieśniaczym stole, niezmiernie recytator pieprzonych anegdot i sypialnianych tajemnic, umiał Bocchini z tym samym fluternym uśmiechem na ustach wydobywać z przesłuchiwanego więźnia politycznych wszystkie ich tajemnice i wiadomości. Z pomocą kwestora Angelucci otoczył on osobę Mussoliniego jakby kordonem jawnych i tajnych agentów policyjnych, czuwających nad każdym jego krokiem, nie tylko w siedzibie urzędowej, w pałacu Weneckim, ale nawet i w domu, wili „Torlonia”.

Opowiadano wówczas sobie zabawną przysługę „Wodza”. Lubił on uroczyście rozpoczynać każdą zainicjowaną przez siebie robotę, czy to burzenie węgla w domach w Rzymie, czy wznoszenie

nowych gmachów, mostów itd. Pewnego razu Mussolini zjawił się na jednym z pieler rozbitanej rudery, zdjął bluzę, zakasał rękawy i ujawszy kilof zaczął gorliwie pracować razem z dwoma towarzyszącymi mu murarzami. Po chwili łaskawy Duce uważał za stosowne porozmawiać z nimi, zadając im różne pytania odnoszące się do ich położenia materialnego, warunków pracy itd. Murarze wykazali jednak tak widoczną ignorancję w odniesieniu do ich rzekomego zawodu, że zniecierpliwiony Mussolini przestał wywijać kilofem i zapytał gromkim głosem, czym są właściwie, jeżeli nie mają pojęcia o murarstwie? Na to sprężyli się obaj służbiście i zameldowali: „n.n. podoficer „Inspektorato speciale di polizia” oraz „n.n. starszy sierżant policji z X Komisariatu policji”. A były to właśnie urzędy ochroly szefa rządu, który zakławszy socyście, kazał im natychmiast sprowadzić prawdziwych robotników. Okazało się jednak, że takich w tym dniu w ogóle tam nie było...

## LATWOWIEROSC SPISKOWCOW

**N**IC TEŻ dziwnego, że zamachy na życie Mussoliniego kończyły się stale niepowodzeniem. A było ich kilka i każdy z nich, o ile był przygotowywany przez ruch oporu, wykazywał przedziwną łatwowierność z jaką spiskowcy padali ofiarą prowokatorów, lub szpiegów policyjnych. Aldo Garosci opowiada jak Zanoboni, były poseł socjalistyczny do parlamentu, odznaczony orderami uczestnictwa pierwszej wojny światowej, postanowił zastrzelić Mussoliniego w czasie „adunaty” faszystowskiej na placu Weneckim. Zwierzył się jednak z tego zamiaru drugorzędniemu dziennikarzowi Quaglii, który ułatwił mu przygotowania do zamachu, zawiadamiając jednocześnie o wszystkim policję. Quaglia wynajął pokój z oknem wychodzącym na plac Wenecki, dostarczył broni i amunicji. W chwili jednak, gdy Zanoboni miał już strzelać do Mussoliniego, wpadła na dany przez Quaglię znak policja i aresztowała zamachowca. Wykorzystując jego znajomość z generałem Capello, którego Mussolini się obawiał, uwięziono również niewinnego generała i aresztowano obu w roku 1925 na dożywotnie więzienie.

W rok potem Irlandka, Miss Gibson, strzeliła do Mussoliniego, raniąc go w nos, zaś 17 czerwca w roku 1926 rzucił pod jego samochód bombę, która nie wybuchła — Gino Lucetti z Carrary. Również bezskuteczny był zamach młodego studenta Ante Zamboni z Bolonii, który w mundurze faszysty przedostał się przez kordon policji i z bliska strzelił z rewolweru do Mussoliniego.

Zamachy te przeraziły policję i dały hasło do rozpoczęcia w całym kraju represji, aresztowań, procesów politycznych, masowych wywożeń na wyspy Liparyjskie. Wielu wybitnych Włochów, opuściło potajemnie ojczyznę. Dążyła za nimi jednak cała plejada wywiadowców i prowokatorów. W Paryżu zaczęto wydawać dziennik „Corriere degli Italiani”, którego redakcja stała się jednym z ośrodków ruchu antyfaszystowskiego. Cóż, kiedy jeden z jej redaktorów, sędziwy Odino Margari zaprzyjaźnił się z niejakim Spella, dopuszczał go do archiwów i jego tajemnic i uważał go za zagorzałego antyfaszystę, podczas gdy ten był agentem policji politycznej.

Jeżeli chciano kogo we Włoszech skompromitować, czyniono to z pomocą zagranicznych prowokatorów. Jak opowiada Aldo Garosci użyto np. przekupionego już w roku 1926 Riccio'go Garibaldi do skompromitowania przywódców tej masonerii włoskiej, która zwalczająca Mussoliniego i faszyzm, w przedstawieniu do filofaszystowskiej masonerii z Piazza del Gesù.

## PROWOKACJE I PRZEKUPSTWA

**G**ARIBALDI namówił dwóch członków Legionu Garibaldczyków w Paryżu na wyjazd do Włoch i zbadanie przysłego terenu zamachu na Mussoliniego. Zoatrzył ich także w listy do wielkiego mistrza masonerii, który miał im w tej pracy dopomóc. Mieli oni być aresztowani na granicy przez policję włoską, a znalezione przy nich papiery byłyby wystarczającym powodem do wytoczenia procesu wielkiemu mistrzowi. Przypadek splotał wszakże figla faszystowskim prowokatorom, bo obaj wysłannicy Garibaldiego zostali uwięzieni przez policję francuską, za usłowanie przekroczenia granicy na podstawie fałszywego paszportu...

Bardzo charakterystyczną jest również historia fanatyka wolności profesora Kamila Berneri, ofiary prowokatora Hermana Menapace, który organizował rzekomą akcję antyfaszystowską, zakrojoną na wielką skalę w północnych Włoszech, oraz zamach na mającą przybyć do Brukseli delegację rządu rzymskiego, z ministrem Grandem na czele. Menapace dostarczył Berneriemu pistolet automatyczny i materiał wybuchowy, który ten zdeponował chwilowo w domu drugiego „spiskowca” Cianca. Wówczas Menapace zawiadomił o tym policję, podając różne szczegółowe wymyślone przez siebie spisku, a ponieważ znaleziono u Cianca broń i dynamit, uwięziono go wraz z Berneriem. Równocześnie przeprowadzono rewizję u wielu Włochów w Belgii i we Francji i wydalono liderów ruchu oporu: Rosselliego, Tarchianiego i Lussu, co naturalnie było celem owej prowokatorskiej akcji Menapace.

Również bezczelna była działalność prowokatora Del Re, który udając ofiarę terrorku faszystowskiego, usiłował sprowadzić na terytorium włoskie wybitniejszych członków organizacji emigracyjnych.

W tych warunkach ruch oporu we Włoszech nie mógł się należycie rozwijać, za słabe miał również poparcie tych kół, z których rekrutowali się jego przywódcy. Była to niemal wyłącznie mieszczańska inteligencja, profesory uniwersytetu, adwokaci, lekarze, garść literatów i dziennikarzy.

## DLACZEGO KOMUNISCI NIE BRALI UDZIAŁU W ZAMACHACH?

**K**OMUNISCI włoscy zajęli zgola inne stanowisko. Świetnie za konspiracji nie potrzebowali uciekać zagranicę. W partii panowała żelazna dyscyplina i niezwykła ośroźność w dobre współpracowników. Wypadki zdrady lub prowokacji należały do niezwykle rzadkich wyjątków. W niedawno ogłoszonym pamiętniku Gwidona Leto, szefa OVRA i biura policji politycznej, opracowanych w czasopiśmie Oggi<sup>3)</sup> czytamy m. in.: „Komuniści byli jedynym stronnictwem, które nie podlegało ustawie o rozwiązaniu, ponieważ weszli zawczasu w stan tajnej konspiracji”. Nie utrzymywali też żadnych kontaktów z innymi partiami, a każdy ich organ miał swoją ukrytą rezerwę, która rozpoczynała automatycznie działanie, gdy tamten był zmuszony do likwidacji, lub chwilowej bezczynności. Wszystkie dokumenty partii były szyfrowane. W Genui policja wykryła np. siedzibę egzekutywy partii z listami członków, miejscami spotkań itd, nie mogła jednak wykorzystać tak cennej zdobyczy, bo odcyfrowała szyfry dopiero po dłuższym czasie, co pozwoliło wszystkim skompromitowanym schronić się zagranicę lub zmienić nazwiska i miejsca zamieszkania.

„Komuniści — pisze dalej Gwidon Leto — wyrabiali, przy pomocy najnowszych środków technicznych, fałszywe paszporty zagraniczne i krajowe,

legitymacje, wize w tak doskonałej formie, że wykrycie fałszerstwa było niemal wykluczone. Umożliwilo im to swobodne poruszanie się w kraju i wyjazdy za granicę, oraz masowy przemysł nielegalnej literatury”.

Polem działania partii były: Mediolan, Turyn, Genua, Toskania i Rzym, z wyłączeniem południowych i niewidzialne ręce roznosiły tam stale ulotki, pisane najczęściej na maszynie i powielane, które podtrzymywały na duchu robotników i demaskowały kłamstwa faszyzmu. Owe ulotki, jak stwierdza obiektywnie dawny poliojant, były powodem wielu zamrzwień władz bezpieczeństwa i tematów częstych rozmów szefa ich Bocchinego z Mussolinim.

W akcji zamachowej paryskich emigrantów włoskich komuniści nie brali udziału zdając sobie sprawę z rezultatów praktycznych. A było ich jeszcze kilka. W maju 1928 r. podłożono bombę u wejścia na Targi Mediolańskie, lecz wybuchła za wcześnie i była za słaba. Jeszcze mniej udany był zamach z czerwca 1933 r. Mussolini wygłaszał niezłomne przemówienia, w głębi ducha zazdroszcząc Hitlerowi jego sukcesów wewnętrznych i międzynarodowych i ubiegając się ciągle o nowe laury. Napad na Abi-

synię był jednym z objawów owej mulacji. Dał Mussolinemu chwilę zmiernego triumfu, gdy wzorując się na Juliuszu Cezarze odbył wspaniały wjazd do Rzymu na czele zwyciężonej armii, prowadząc za sobą pochód kolorowych wojsk, stojącej kawalerii libijskiej na wielbłądach i mułach, trypolitańskiej piechoty w białych burzaczach, łupów wojennych i jeńców. Lecz był to moment upojenia, za który Italia i sam Mussolini drogę musieli zapłacić. Uchwalenie sankcji i dyskusja przez nie wywołana, ujawniająca ogólne oburzenie Europy, były dla ambitnego ponad miarę dyktatora Włoch pierwszym memento i gorzką pigułką. Odpowiedział na nią, każąc rozplakotać w całym kraju dumny slogan: „Wielki to zaszczyt mieć wielu wrogów”, ale fakt pozostał faktem: gwiazda Mussoliniego zaczęła błędnąć i przygasać.

Taka była prawdziwa historia zamachów na dyktatora Włoch. Wszystkie były nieudane. Podejmowali je bowiem ludzie wprawdzie kochający wolność i nienawidzący tyranii, ale należycie nie zorganizowani i nie rozumiejący, że walka z faszyzmem nie mogła sprowadzić się jedynie i wyłącznie do zamachów na osobę Mussoliniego.

Alfred Jez

## Slogany wierszem

„Strofy o Planie sześciolatnim”  
Brzechwy są jeszcze jednym dowodem na poparcie tezy o słabości „deklaracyjnej” i „slogańowej” poezji.

„Myśmy dzieci tej samej Wiary,  
Która ma przeobrazić świat;  
Obalamy porządek stary,  
Zebymy nowy zbudować ład”.

Wprawdzie można by mówić o poprawności logiczno-gramatycznej, jednak choć Matuszewski uważa to za rzadką (zapewne) i stąd gołąną szczególnego podkreślenia zaletę (patrz jego omówienie „Polemik i pieśni” Wirpsy), niektórym (takim „zgnitym”, estetyzującym formalistom), to nie wystarczy — Cóż za wysokie wymagania! oburzy się ten i ów z młodych poetów).

„Trzeba pieśnią do pracy zagręwać”  
pisze Brzechwa. Koncepcja poezji służącej sprawie budowy, przebudowy całkiem słuszna, ale... (przepraszam nielecznych czytelników znających moje recenzje z J. Mille- ra, że się powtarzam — niestety to nie moja wina) poezja może oddziaływać dopiero wtedy, gdy jest sztuką!!!!

„Jesteśmy dziećmi tej samej Miłości,  
która ogarnia całą ziemię. Prości ludzie,  
— prosty robotnik i chłop nauczyli nas, że trzeba miłować Wolność,  
że trzeba o nią zaciekle walczyć”.  
Czytaliśmy to ze wzruszeniem, gdyby to był np. artykuł w dzienniku i z takim samym wzruszeniem czytamy Brzechwy:

„Myśmy dzieci tej samej Miłości,  
Która cały ogarnia glob.

„Pulsują manometry, człowiek wyciąga ramię,  
Przeobraża naturę i stare prawa łamie,  
Szarpie wnętrzości ziemi, rudy w płomienie rzuca,  
Plują wściekłą purpurą hut oszalałe puca,  
W piecach lawa szkarlatnym płomieniem się pali”.

Patos tematu narzuca retoryczny patos formy:

„O, wizjo romantyczna stworzona po raz pierwszy,  
Jakim cię ma powitać hymnem albo peanem  
Poeta zadumany nad sześciolatnim planem?”

Nowy romantyzm, romantyzm pracy, budowy „bierze” czytelnika. „Liryczne intermezzo” napisane przyjemnym 15-zgłoskowcem wrzuca do głębi szczerocią, bezpośredniością wyznań:

„Krucze było tworzywo i słowa nie  
górnolotne,  
Lecz wierzyłem, że serce na flagi  
czerwone potnę”.

Tomik a raczej arkusz poetycki kończy werbalistyczny, wodolejski

Nauczyli nas ludzie prości,  
Prosty robotnik i chłop,  
Ze trzeba Wolność miłować,  
Toczył o nią zacieki bój”.

— Tylko „ładunek” ideowy wiersza wywołuje przeżycie. Brzechwa jako poeta nie tu nie stworzył — raczej osłabił wrażenie prymitywną (używając b. powściągliwego określenia) formą.

Świadomą (zdaje się) choć niezbyt szczęśliwą stylizacją na dziecinny wierszyk jest „Rozmowa z budowniczym”:

„Budujemy mosty!  
— Dla kogo?  
— Dla ludzi prostych”.

Skojarzenie z „budujemy mosty dla pana starosty” daje efekt wręcz komiczny. Później zaczyna się karytarka:

„Budujemy drogi, budujemy tawny,  
Budujemy domy, miasta odnawiamy  
Praca pracę goni i pracę popędza,  
Będzie stal i węgiel, pszenica  
i przędza”.

„Lećcie orleńca”, to wierszyk pisany nie tylko do młodzieży, ale i do młodzieżowego pisemka — sądząc po poziomie artystycznym. Przypomina Asnyka, czy Świdzińskiego (nie wiem czy to b. zaszczytne zestawienie).

W „Strofie o Planie” są tylko dwie dobre rzeczy: „Nowa Huta” i „Liryczne intermezzo”.

W „Nowej Hucie” Brzechwa stara się oddać dynamizm współczesnej rzeczywistości:

„Pokój zwycięży” składający się z transparentowych sloganów.

jmp.

P. S. Wydaje mi się, że Brzechwa pomieszał wiersze tylko dla młodzieży z normalnymi utworami poetyckimi. Wobec braku wyraźnych kryteriów trzeba było wybierać — czy traktować całość jako zbiorek dla młodzieży, czy też jako „normalny” zbiorek poezji. Wybrałem to ostatnie — stąd surowa ocena!

jmp.

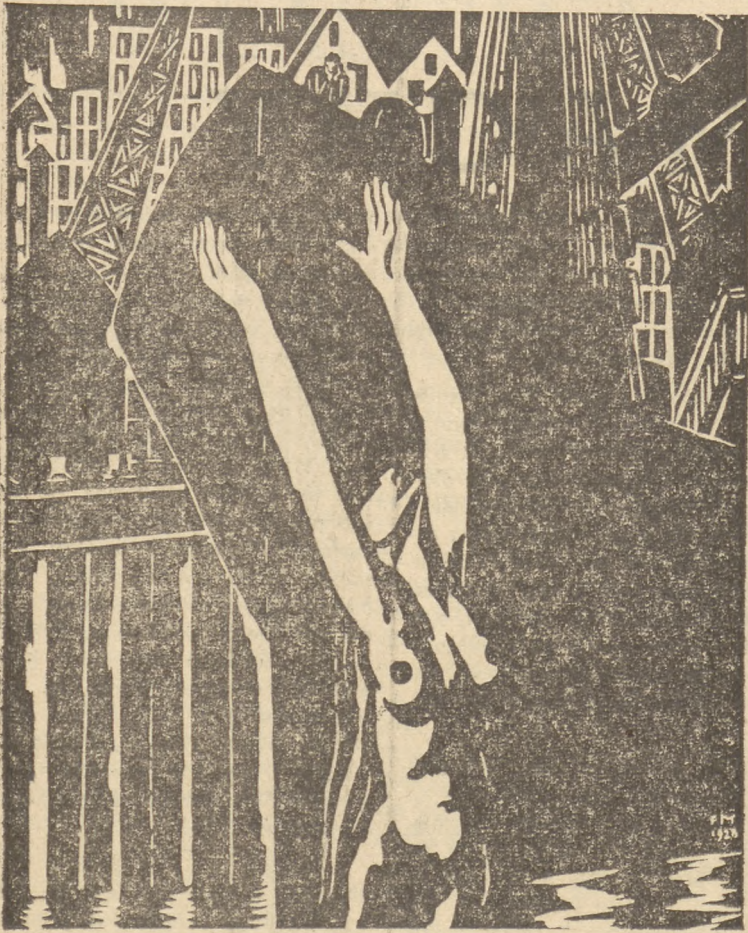
1) Aldo Garosci „La Vita di Carlo Rosselli” Ediziom U Roma.

2) Opera Vigilanza Repressione Antifascismo.

KUPIMY NATYCHMIAST  
KOMPLET DZIEŁ  
OJCÓW KUŚCIOŁA  
Wyd. MIGNÉ A  
Seminarium Duchowne  
Ołtarzew p-ta Ożarów  
Warszawski

3) Memorie di un Capo dell'OVRA di Guido Leto, „Oggi” nr. 27, 28, 1960.

Gerhart ZILLER



Drzeworyt z cyklu „Namiętność człowieka“ 1918



Drzeworyt „Sirena“ 1928



Drzeworyt z cyklu „Młodość“ 1948

Miejsce artysty jest w pierwszych szeregach walczących o nowy ustrój wykluczający wyzysk człowieka przez człowieka i wojny. Ale artyście nie wolno zapomnieć, że tylko wtedy osiągnie wielką, godną tego świata sztukę, kiedy oprze się na pięknie środków artystycznych i że pod tym warunkiem jego twórczość może się stać motorem wzruszenia zdolnym wstrząsnąć duszami.

JAKO człowiek i artysta jest Frans Masereel nierozłącznie związany ze wszystkimi społecznymi zjawiskami naszych czasów. Czerpie wyraz i formę, kształt artystyczny i temat z różnorodnej, bezpośredniej teraźniejszości. Pod tym względem jest podobny do Daumiera, wielkiego artysty-krytyka doby ubiegłej, który przewidział zbliżenie się ery mieszczańskiej, litografował wszystkie osobliwości nowego zjawiska i potrafił stworzyć swymi środkami artystycznymi żywy do dziś dnia obraz epoki.

Pierwszy raz usłyszeliśmy o Fransie Masereelu, artyście flamandzkim, w czasie wojny światowej 1914—1918. Żył wtedy w Genewie i swoje marzenia, bóle, nienawiść i miłość wypowiadał w rysunkach malowanych tuszem albo w drzeworytach. Miał za sobą stosunkowo krótkie studia w gandawskiej szkole sztuk pięknych u prof. Jaan Delvina, pobyt w Londynie i Paryżu, podróż po Afryce Północnej. Ale dopiero w roku 1916 w Szwajcarii formuje się talent i siła artystyczna Masereela. Tu wyrasta jego wielkość w walce przeciw wojnie, w walce o pokój. Tu u boku Romain Rollanda i grupki dzielnych przyjaciół, dziennikarzy i artystów, którzy wydają w Genewie dziennik „La feuille“ i na swój sposób walczą z wojną, jego głos znajduje pierwszy oddźwięk w Europie.

Romain Rolland, wielki przyjaciel pokoju, doświadczony towarzysz walk Masereela, pisał w roku 1928 wspominając czasy genewskie: „Jestem wdzięczny wygnaniu, które dało nam tylu dzielnych towarzyszy, a przede wszystkim Masereela, tak bogatego sercem i duchem. Nasz krwawy czas, który pod maską bohaterstwa i idealizmu ukrywał tak dużo okrucieństwa i obłudy, potrzebował mściwego ryłka jakiegoś Daumiera czy Goyi. W ich rzędzie stawiam Masereela. Jego rysunki, które przez szereg lat codziennie ukazywały się w genewskim dzienniku „La feuille“ są dziełem pomsty. Ten krzyk bólu i oburzenia znajduje echo w nadchodzących czasach“.

Frans Masereel pracuje w Genewie wytrwale i uporczywie. Mały dziennik „La feuille“ musi występować przeciw wielkim międzynarodowym agenturom kłamstw, przeciw tankom i karabinom maszynowym, musi zdobywać serca i umysły dla sprawy pokoju. Więc codziennie na tytułowej stronie gazety na nowo upomina i wzrusza czytelników białoczarny rysunek ręki Masereela.

Ciągle na nowo chwyta jego ręka za pendzel do tuszu i meldunki wojenne przelewa na papier w zwartej, przejmującej, artystycznej formie.

Na pierwszej stronie gazety „La feuille“ jest obraz rozszarpanego przez bombę człowieka. Samoloty krążą nad nim. Oderwane od ciała członki fruują w powietrzu. Głowa zabitego zastygła w grozie, zwrócona ku górze. „Nowoczesna plastyka“ — podpisuje pod tym Masereel a niżej umieszcza trzy lakoniczne zdania, które przed paroma godzinami zaczerpnął z meldunków prasy wojennej. Oto one:

Londyn: Angielscy lotnicy dokonali nad frontem Aisne godnej podziwu pracy.

Berlin: Wierna swojej tradycji eskadra stara sukcesy wzbogaciła nowymi.

<sup>1)</sup> Według „Frans Masereel“ — Einführung und Auswahl von Gerhart Ziller, Sachsenverlag Dresden (skróty)

## FRANS

Frans Masereel

Paryż: Osiem ton środków wybuchowych zostało w ten sposób zużyte dając jak najlepsze rezultaty.

Rzeczywiście w ten sposób zużyte materiały wybuchowe dają najlepsze rezultaty!

ZDECYDOWANIE i śmiało podchwytuje Masereel problemy czasu powojennego i rozprawia się z nim na swój artystyczny sposób. Zna stary, zmurszały ustrój i staje się wyrazicielem ludzi walczących przeciw niemu. Przedstawia los robotników.



Drzeworyt z cyklu „Księga godzin“ 1919

W roku 1918 ukazuje się „Namiętność człowieka“, cykl obrazów składający się z 25 wspaniałych drzeworytów, które wszędzie znajdują gorących wielbicieli. Na 25 drewnianych płytach wyciął Frans Masereel życie młodzieńca ze środowiska robotniczego, który walcząc ze wszystkimi przeciwnościami losu, osiągnął wreszcie tyle wiedzy, że mógł przekonać i poprowadzić towarzyszy niedoli do walki z wspólnym wrogiem. Chociaż robotnik, którego losy przedstawił Masereel w „Namiętności człowieka“, zostaje w końcu przez wroga klasowego rozstrzelany, śmierć ta nie przynębia, lecz wstrząsa i porywa. Jego ka-

ci wyraźnie czują, że ich ofiara jest częścią potężnej masy, wciąż rodzącej nowych organizatorów i bojowników, aż do ostatecznej klęski tego spróchniałego ustroju, który usiłuje narzucić pęta siłom postępu. Jeden z drzeworytów cyklu „Namiętność człowieka“, przedstawiający czytającego albo raczej uczącego się robotnika, był reprodukowany przez prasę postępową wszystkich krajów. Robotnik stoi oparty o latarnię, w świetle gazowym, trzymając książkę w silnych dłoniach. Są to te same mocne ręce, które w dzień poruszały młot i ocierały pot z czoła, a teraz sięgają po wiedzę. Młody robotnik chwyta książkę i studiuje prawa wyzolenia, walki i zwycięstwa. Młody olbrzym z książką w dłoniach staje się symbolem przyszłości. Robotnicy, przede wszystkim młodzież w bibliotekach, to ciągle powracający motyw u Masereela. Uczyc się, coraz więcej uczyć i świadomie działać — oto są źródła siły.

Cykle drzeworytów Masereela, które ukazują się między dwiema wojnami, znajdują wielką rzeszę zapalonych wielbicieli. Tomasz Mann, Stefan Zweig, Hermann Hesse, Arthur Holtscher i Maks Brod piszą wstępy do ich wydań książkowych. Ale sami przyznają, że właściwie jest to zupełnie zbyteczne. Każdy pracujący, każdy myślący człowiek rozumie je i podziwia.

Masereel ma tę cenną właściwość, że w swoich cyklach drzeworytów najczęściej przedstawia siebie samego. Nie wymyśla bohaterów, lecz żyje w nich. Jest kronikarzem kształtującym w sposób artystyczny rozmaite zdarzenia dnia codziennego. Jego „Księga godzin“, cykl 167 drzeworytów, nosi jako motto słowa Walta Whitmana: „Patrzcie! nie pouczam ani nie udzielam jałmużny. Kiedy daję, daję sam siebie.“ Tak właśnie postępuje, po prostu, bez patosu, w pełni pulsującego napięcia, które może w nas wzbudzić głęboko odczute życie. Zaznajamia z ludźmi i maszynami, z karczmami i bibliotekami, z głodem i przesytem. Jest radosnym towarzyszem zabaw śmiejących się dzieci i współczującym przyjacielem tam, gdzie napotyka ludzką boleść.

W SZYBKIM tempie ukazują się dalsze serie Masereelowskich prac. Pięć z najbardziej znanych cykli obrazowych: „Namięt-

Maria Barbara HANAI

## ROZGARNIJ

Rozgarnij powieką na zawsze  
na dolę niedolę rozgarnij  
Błyskotkę, piszczałkę — głos trawy  
— by dłużej, by rzewniej, by gwarniej.  
Nie zlorzecz — niech nie drżą — niech cichną  
jak wiosła ciśnięte w szuwały.  
Wyrwany z ramienia ożyjesz  
dziesięciu cudzymi rękami.  
W miąższ lipy, w znajomy pień drzewa  
zabłakaj się! rośnij! urzekaj!  
Zwinięty liść, śpiewaj i śpiewaj  
człowieka.

## OBRĄZ

Ty żyjesz i ja żyję — życia liść zielony —  
nasłoneczniam się sobą i rosnę i mijam  
bezboleśnie jak symbol, spokojnie jak płomień  
który niosąc śmierć cicha, wie że nie zabija.

W oczach swoich zamknęłam świat ciepły jak uśmiech  
złotoustą legendę — oko Trójcy świętej —  
i odąd jestem pieśnią i znów wierze u'nie  
w miłość słowa co ludzkie uskrzydliło ręce.

Ustrzeż się gorzkich smutków — lecz nie gardząc cieniem  
gotykien zepnij niebo a ziemia ukłęknie.  
Po obu stronach drogi gwiazdźiste sklepienie  
kształtem godzin zakłjęs w nieśmiertelnym pięknie.

tłum. Wanda ZAKRZEWSKA \*)

# MASEREEL

noś człowieka", „Księga godzin", „Słońce", „Historia bez słów" i „Idea" obejmuje prawie 400 drzeworytów.

W cyklu „Słońce" występuje znowu sam Masereel. Siedzi przy swoim biurku, w pełnym słońcu i pracuje. Z jego czoła wyskakuje mały Masereel, który zachwycony chce złowić słońce. Nazwijcie je wolnością, światłem czy wiedzą. Wszystko będzie słuszne. Będzie to romantyczna próba zdobycia słońca. Więc poń. Gdzie jest słońce? Czy jest nieosiągalne? Może jest na maszynie okrętowej, albo na kominie fabrycznym? Czy można je schwycić wyciągnąwszy rękę zza krat celi więziennej? Na naszego entuzjastę słońca poluje kołtunierka gotowa schwycić go i okuć w więzy. On jednak uchodzi i próbuje osiągnąć świat gwiazd. Wreszcie potężnym skokiem wpada w rozżarzoną kulę słoneczną. W tej samej chwili zostaje odrzucony na ziemię dokładnie tam, gdzie rozpoczął swoją gonitwę. Artysta — śpion przy nasłonecznionym oknie budzi się, poznaje, że bohater jego cyklu obrazów wybiegł z jego własnego czoła i od tej chwili zaczyna się tęsknota artysty za słońcem.

„Historia bez słów" zajmuje się starym, wiecznie zmiennym stosunkiem między mężczyzną a kobietą, tajemnymi cierpieniami kochanka, który długo na próżno się trzusi, zanim znajdzie wysłuchanie oraz rozczarowanie kochanki, kiedy widzi jak szybko ostyga ten, którego chciała na zawsze zatrzymać dla siebie.

„Idea" przedstawia los idei wystanej przez swego twórcę w świat, aby go zdobyć, podbić, przekonać. W czasie tej drogi jest prześladowana, wyszydzana, poniżana i bita. Pomimo tego przeżywa świat i wraca do swego twórcy. A on tymczasem oddał się innej idei i stara została zapomniana.

Masereel jest także bardzo cenionym ilustratorem. Zaczyna drzeworytami i winiętami do „Liluli" Romain Rollanda. Ilustruje dzieła Whitmanna, Charles Louis Philippa, Barbussego, Verhaarena, Maeterlincka, Vermeylena i Zweiga. Całe lata poświęca pracy ilustratorskiej do „Jana Krzystofa" Rollanda. Kiedy ukazuje się w niemieckim wydaniu nieśmiertelny „Thyl Ulenspiegel" Charles de Costera, Masereel jest

interpretatorem tej rewolucyjnej personifikacji flandryjskiego ducha. Thyl i Lamme Goedzak na 150 drzeworytach walcząc podróżuje przez Flandrię.

FRANS Masereel jest nie tylko drzeworytnikiem i rysownikiem, ale także malarzem i litografem. Nęca go najbardziej niezwykle gatunki sztuki. Sporządza marionetki, pracuje jako dekorator teatralny a oprócz tego za muje się ceramiką. Jest człowiekiem, który w tworzywie właściwym swojej epoce buduje dzieło według własnego świata kolorów i kształtów.

Chwytać wrażenia barw, pracować w akwareli i oleju, a równocześnie przy tym pokonywać charakterystyczną sztywną linię drzeworytu, nie jest dla niego łatwym zadaniem. W latach 1925—27 powstają masereelowskie akwarele z Montmartre. W ich wszystkich odcieniach kolorów i w kształtach tętni niespokojne, pulsujące życie Paryża. Temu miastu, z jego całą nerwową fantastycznością poświęcił wiele uczucia.



Drzeworyt z cyklu „Księga godzin" 1919

Drugim momentem, który specjalnie kształtował w malarstwie olejnym, jest ruchliwe, wiecznie niespokojne morze. Masereel kocha morze namiętnie i w okolicach Boulogne przepędza wiele pracowitych letnich miesięcy. Nie jest tu malarzem „od święta", lecz towarzyszem rybaków, zamieszkujących małą wioskę Equihen przy francuskim brzegu kanału. Żyje ich życiem. Usiłuje utrwalić na płótnie wybrzeże i ludzi, którzy je zamieszkują.

W roku 1935—36 przebywał Frans Masereel w Związku Radzieckim. Przeżył tam wielki rytm socjalistycznej rozbudowy i szybki wzrost życia kulturalnego. Zrozumiał także niezwykle możliwości rozwoju sztuki. Podziwiał troskę o pielęgnację narodowych środków artystycznych i ich wypełnienie międzynarodową treścią socjalizmu. Podczas jazdy przez Związek Radziecki stworzył Masereel wiele rysunków oddających wiernie cechy charakterystyczne tego kraju i jego ludów.

Nadchodzi wielka katastrofa. Faszystowskie barbarzyńcy wtrącają świat w nową krwawą rozgrywkę. Prawie sześć ciężkich lat trwają walki. Majdanek i Oświęcim, Stalingrad i Warszawa są w nich zawarte. Bohaterzy partyzanci, kobiety i mężczyźni, broniący najprymitywniejszych praw ludzkiej godności, zostali w okrutny sposób skatowani i wymordowani. Pamiętajcie, ludzie oddani sztuce, wy, którzy kiedy pachnie w powietrzu pożarem i siarką, tak chętnie chronicie się na wieże z kości słońcowej, pamiętajcie o tysiącach niewinnych dzieci, które zginęły w piwnicach wielkich miast! Nie uciekajcie, pomóżcie przyjaciołom pokoju!

Królowie armat walczą o rynki zbytu, o surowce, o zyski, jeżeli trzeba nawet przeciw dzieciom. Ale wy powinniście kazać wszystkim maszynom pracować dla pokoju. Kochajcie życie! Brońcie go, utrzymujcie! Walczcie o pokój!

A Masereel?

Co powiedział swoim braciom i siostrą w tym strasznym czasie, jako człowiek postępu i artysta? Oczywiście nie milczał. Odciepił od wszystkiego co było prawdziwą kulturą i humanizmem, nie mogliśmy o nim słyszeć i widzieć jego dzieł. A on pracował i jego prace przerosły znacznie te, które znamy z czasów pierwszej wojny.

W roku 1939 ukazuje się nakładem Oprechta w Zurychu jedno z najbardziej wnikliwych i najpiękniejszych dzieł Masereela pod tytułem „Od czerni do białej". Jest to cykl nazwany historią stworzenia składający się z 57 mistrzowskich drzeworytów. Jeszcze raz odżywa namiętność „właściwa wszystkim dziełom Masereela. Walcząc po stronie wyzyskiwanych i dręczonych, pokazuje jedynie możliwą drogę, która prowadzi do lepszego, godnego prawdziwego człowieka życia.

W roku 1943 a więc pośród wojny ukazują się „Losy". Losy dręczonych ludzi w latach 1939—1942. Jest to 44 rysunków w tuszu rozprawiających się ze strasznymi skutkami morderczej wojny.

Po wojnie, w roku 1948, ukazuje się trzecie większe dzieło Masereela, cykl 22 drzeworytów. Nosi tytuł „Młodość" i wstęp do niego pisze Tomasz Mann. „Każemy wam ufać" — powie on na końcu swego wprowadzenia mając na myśli młodzież, która przeżyła wojnę, młodzież odwracającą się od drewnianych krzyżów masowych grobów i dzielnie i zdecydowanie budującą nowe życie na gruzach.

Masereel, krytyczny kronikarz naszego czasu, jest i dzisiaj tym, czym był zawsze: walczącym humanistą. Takim, który kocha życie, żyje intensywnie i namiętnie a silnie jest związany ze społeczną rzeczywistością. Masereel wie, że graficzne środki wyrazu użyte prosto i jednocześnie wywierają olbrzymi wpływ na widza.

Kiedy myślimy o dziełach Goyi i Daumiera, o ich nigdy nie wyczerpanej sile, rozumiemy co znaczy być aktualnym przez stulecia. Najlepsze części Masereelowskiego dzieła będą również z taką samą siłą przemawiać do pokoleń przyszłych.



Drzeworyt z cyklu „Namiętność człowieka" 1913



Drzeworyt z cyklu „Życie człowieka" 1918



Drzeworyt z cyklu „Młodość" 1948

## PRZED PRZYJŚCIEM

Kiedy dłoń wznosisz — dłoń anioła —  
tak — obłok się czasem białe  
tak — w lesie czasem kwitną ziota  
Snem się uśmiecham i nadzieją,  
I mówię: ciału ziemi twarde  
i mówię — wiek pogardy minął  
ale już rzeźbisz berla palmę  
i zwilżasz skroni wieczoru winem.  
Komuś uwierzył? kimże jestem?  
dojrzeła noc na krańcach alej  
jak u mych źrenic żal przedwczesny  
jak miłość której nie ocali.  
Z perspektyw rysowanych węglem  
odejmij dżdżem nasiąkły kamień.  
Zwyczajnie, świt — i droga we mnie  
na powrót się błękitna łunie.

## A V E M A R Y A

Prostokąt okna — głowa którą  
wyrzeźbił różowawy marmur.  
Mówisz — oliwnym błędą gajem  
płochliwe postannice.

Mówisz: jak pięknie! chcesz malować  
lecz w dłoniach z nagła pęka sienna  
i anioł zaniemówił — zda się —  
na polichromii u sklepienia.

Można by szelest skrzydeł nizać  
jak rość którą wichur wypił  
ale, odwracasz wzrok — podziwiasz  
przezysty, zimny deszcz księżyców.  
Oto Najświętsza stoi Panna  
w sukience z sosnowego drzewa.  
Bądź pozdrowiona! Ave Maria.

Anna ŚWIDERSKA

# »Wiek męski« Teatru Rapsodycznego

G DYEY nie obawa profanacji, można by zacząć tak, jak w Ewangelii: „Na początku było Słowo...“ Tańło się ono na poufnych zebraniach młodzieży w czasie okupacji. Wówczas, kiedy wyraz „kenkarta“ wchodził już na dobre do naszego słownika, kiedy teatr zorganizowany perfidnie przez okupanta był bojkotowany przez całą większość patriotyczną stolicy „generalnego gubernatorstwa“ — tam, za zasłoniętymi szczerbami oknami brzmiało najpiękniejsze słowo polskie czyste, nieskażone, pielęgnowane z tym większym umiłowaniem, że było jedynym, po co jeszcze nie sięgnęła ręka zabójcy. Nic się nie da porównać z tym, czego doznawali obecni słysząc wiersze znane im dobrze, czasem nawet umiane na pamięć, ale wygłaszane w taki sposób i w takich warunkach.

suwa się dyskretna przestroga, żeby to czasem nie przeszło w manierę nieuleczalną.

W SZYSTKIE te recytacje nieskażitelne pod względem dykcji, a wręcz zachwycające w momentach zbiorowych, odbywały się z nadzwyczajną oszczędnością gestu i ubioru: u kobiet czarna suknia wycięta u szyl z nierzucającym się w oczy naszyjnikiem, u mężczyzn czarna płaszcz z lekka udrapowany. Dekoracja również jak najprostsza. Estrada kilkustopniowa, draperia jako tło i jakiś jeden symboliczny krzyż, słup czy obelisk po środku.

Stopniowo jednak, w miarę rozszerzania się programu i dobierania coraz do nowych tematów, okazała się potrzeba urozmaicenia tła i akcesoriów, a przede wszystkim większego udratyzowania gestu. Stąd eksperymenty nie zawsze

Zaciekawienie było ogromne. Toczyły się rozmowy, w których starano się odgadnąć, jak też dyrektor potraktuje ten temat.

Rzecz została tak ujęta, że przed Hamletem rozmyślającym samotnie na uboczu w czasie uczytu weselnej stryja i matki pojawia się trupa wędrownych aktorów i przedstawiają mu kolejno fragmenty z „Kumoszek“, „Romea i Julia“ i z „Makbeta“ stopniując w ten sposób nastrój aż do grozy tragicznej. Poprzedza to prolog, przedzielają interludia zawierające po części refleksje samego Hamleta, po części zaś wypowiedziane ślicznym wierszem „słowo wiążące“, które ma dać obraz twórczości Szekspira i warunków, w jakich się rozwijała — kończy zaś epilog. Za dekorację służy szeroko rozbudowany taras z dwoma skrzydłami stopni schodzących aż na przód sceny, gdzie występuje Hamlet i recytator, na tarasie zaś i na schodach rozgrywa się większość akcji (prócz „Wesołych kumoszek“).

Teatr postawił sobie tutaj zadanie niezmiernie trudne. Wszystkie jego dotychczasowe imprezy polegały na udratyzowaniu utworów bądź lirycznych bądź epickich (z wyjątkiem Norwida, którego twórczość jednak sama przez się ma charakter poniekąd rapsodyczny). Tym razem przystąpił do „urapsodycznienia“... proszę mi wybaczyć ten neologizm!.. dzieł, które same przez się posiadają już doskonały kształt sceniczny. Szekspir żyje sceną i scena żyje Szekspirem — nie tu nie można dodać ani ujęć. I dlatego impreza była pod tym względem z góry skazana na niepowodzenie. Takie rzeczy jak scena balkonowa Romea i Julii, jak nocne błaganie się lady Makbet z kagankiem w ręku są i muszą pozostać nienaruszalne. Łączenie tego tekstu z innymi tekstami, lub przenoszenie go z nocnej ciszy — w której nie skowronka słycać, ale jeszcze słówka... — na oświetlony jasno taras, musi, nawet przy najdoskonalszej recytacji słowa poetyckiego, stać się rzeczą chybioną, przy czym, dodam jeszcze nawiasowo uwagę, artystka, która byłaby doskonałym wcieleniem Zosi Mickiewiczowskiej, przez to samo nie może być dobrą Julietą. Wynagradzają to, ale tylko po części, efekty plastyczne i kolorystyczne, które zwłaszcza w scenie z „Makbeta“ były wspaniałe.

Najlepiej stosunkowo wypadły windsorskie kumoszki, które były wyborne i przypominały — naturalnie *mutatis mutandis* — trójkę kobietek z „Oniegiina“. Ale stało się to przede wszystkim dzięki doskonałemu wykonawcy roli Falstaffa. Jest to wybitny talent do ról charakterystycznych, którego miejsce byłoby właściwie w teatrze czysto dramatycznym. Raziła tu tylko sprzeczność między słowami a wyglądem. Ten opój, o którego ogromnym brzuchu mówi się wciąż bez ceremonii, był w obcisłym stroju renesansowym cienki jak Chudogęba. Podobno inną jego charakterystyką uznano za „nierapsodyczną“, no, ale i tekst w tym wypadku bynajmniej „rapsodyczny“ nie jest... Dość niepotrzebnie zaś włączono tutaj scenę z „Henryka IV“, zwłaszcza, że wulgarny przygłupek, jakiego widzieliśmy na scenie, niezbyt przypominał renesansowego królewicza, który wprawdzie sam się przyznał do swego „loose behaviour“ (rozwiązało obyczajnie), ale zarazem powiada, że jest „much better than my word“

(o wiele lepszy niż to, co mówię), a w stosunku do Falstaffa porównywa siebie ze słońcem, „who does permit the base contagious clouds to smother up his beauty“ (które pozwala niskim, zaraźliwym chmurom zaćmiewać swoją piękność).

Wreszcie nadzwyczaj barwne i efektowne, a ślicznie ugrupowane (co stanowiło specjalność tego teatru) było wejście grona aktorów.

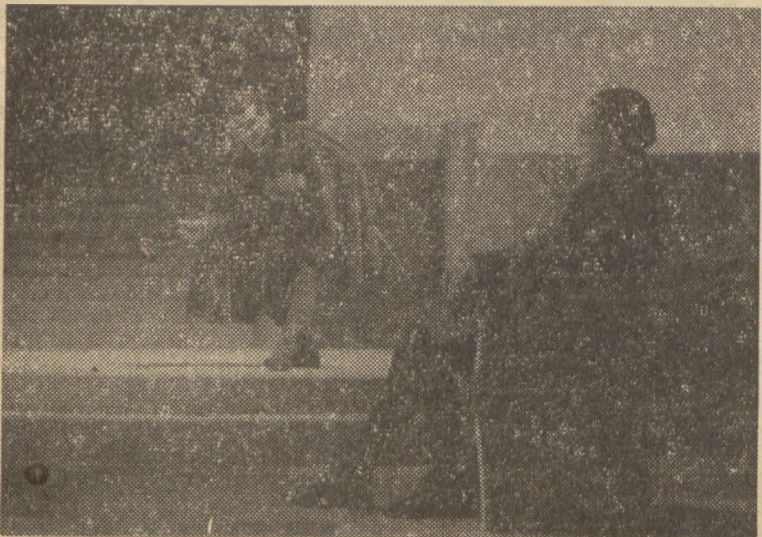
PUNKT ciężkości całego przedstawienia opierał się jednak na postaci Hamleta. Łączność jego z teatrem sprawia, że był on nadzwyczaj nęcącym tematem dla takiego właśnie ujęcia. Niektórzy krytycy wprawdzie lekceważą ten rys jego charakteru, inni przeciwnie, kładą nań duży nacisk. Matlakowski słusznie podkreśla, że był on głęboko żyty z teatrem jak cały ówczesny świat angielski i że scena z aktorami stanowi pod tym względem odbicie pewnego zjawiska społecznego. Gervinus idzie jeszcze dalej twierdząc, że to nie tylko znawca teatru, lecz urodzony poeta i aktor, i że ta żyłka do teatru pcha go po części do odgrywania roli obłąkanego. W każdym razie powiązanie najgłębszych przeżyć myślowych i życiowych Hamleta z tym co widzi na scenie, było posunięciem nader szczęśliwym. Trafne też wydaje się przedstawienie go, wbrew pozorom, jako naturę zdolną do czynu. Zgadza się na to wielu wybitnych hamletologów. Wyprowadzenie zaś wniosków końcowych, że wraz z podjęciem planu działania Hamlet rozwiązuje pytanie „być albo nie być“ w sensie pozytywnym jako walki o zwycięstwo sprawiedliwości nad zbrodnią i nowego porządku nad starym, jest wprawdzie koncepcją osobistą dyrektora Teatru Rapsodycznego, ale nie mniej uzasadnioną niż tyle innych interpretacji tego wciąż jeszcze zagadkowego charakteru.

Nasuwać się tylko znowu pewne zastrzeżenia co do zbyt swobodnego traktowania tekstu szekspirowskiego. Wydaje mi się, że tu jednak powinna obowiązywać zasada *noli me tangere*. Przekład zaś Morstina, choć na ogół bardzo dobry, zaskakuje czasami niespodzianym użyciem jakiegoś zwrotu jak np. „myślę więc jestem“, które wprawdzie w danym wypadku oddaje myśl oryginału, ale za to już jest znane jako słowa Descartes'a, żeby go można w ten sposób używać.

Natomiast „słowo wiążące“ te goz Morstina, napisane wierszem pięknym i szlachetnym, a wypowiedziane jak nie można lepiej, było jedną z najbardziej udanych części przedstawienia, a przy tym — jedyną czysto rapsodyczną.

Odtworzenie głównej postaci wzięt na siebie dyrektor Kotlarczyk. Mamy więc w naszym do robku teatralnym jeszcze jedną kreację Hamleta, i to na wskroś oryginalną. Bardziej zaś nawet niż dykcja, przemawia tutaj sama gra. A raczej nie, nie można tego nazwać grą we właściwym znaczeniu. Jest to przeżywanie tego, co czuł i myślał twórca tej postaci, wyrażone w sposób pełen rezerwy, a jednak taki, że przyciąga pomimo woli uwagę widza. Ten wyjątkowy talent stwarzania niemych ról (mogący śmiało wytrzymać porównanie z postacią wiarusa, kreowaną przez Solskiego) nadaje się przede wszystkim dla teatru rapsodycznego, gdzie tak wielkie znaczenie posiada umowność niektórych szczegółów i postaci. Na przykład w „Eug. Oniegiinie“ czynność na pozór tak drobna, jak postawienie na słupie świecznika lub wazona kwiatów dla oznaczenia, czy rzecz dzieje się w dzień czy wieczorem — stawała się dzięki sposobowi jej wykonania czymś, co pobudzało

(Dokończenie na str. 10)



Państwowy Teatr Rapsodyczny w Krakowie. „Aktorzy w Elzynie“ scena z aktu I.

I wtedy to, kiedy na próbach młodzież nie zawsze mogła sobie dać radę z jakąś recytacją, odzywał się ktoś czasem: — Gdyby tu był dr Kotlarczyk!..

Kto taki?... Nazwisko było mało znane.

Zjawił się niespodzianie. Jeszcze zanim Niemcy wyszli z Krakowa. I wtedy nastąpiła szczególna symbioza. Artysta, który marzył o tym, żeby znaleźć żywe narzędzie dla wyrażenia tego, co już stało się w jego myśli gotową koncepcją — i zespół, oczekujący na to, żeby znaleźć kierownika, który by zagrał na nim „jak na szklanych harmonikach kregach“. Spotkali się z sobą i w ten sposób powstało to, co wspólnie określili mianem „teatru rapsodycznego“. Rapsodyczny, ponieważ słowo wygłaszane było, jak to czynili starożytni rapsodzi, z domieszką odpowiedniej muzyki i czasami omal że w formie melopei, a teatr, ponieważ zorganizowane to było w kształcie zbiorowym i nie miała rolę odgrywał chór.

Z chwilą, kiedy teatr wyszedł z ukrycia, zaczęły się odbywać przedstawienia publiczne, najpierw w wypożyczalni na ten cel w godzinach południowych sali kinowej. I była to zarazem nauka poglądu słowa polskiego przedstawionego ze wszystkim, co jest w nim najszlachetniejsze. Niezapomniany pozostał pierwszy program, „Grunwald“ z zestawionych odpowiednio tekstów „Wallenroda“ i „Grażyny“ Mickiewiczowej oraz „Zawiszy“ Słowackiego, a spośród następnych „Hymny“ Kasprowicza również z wybranymi i łączonymi dowolnie tekstami.

Regułą bowiem stało się w Teatrze Rapsodycznym nie wygłaszanie nigdy żadnego utworu w całości, ani nawet wybranego ustępu w porządku pierwotnym. I tutaj na-

szczęśliwie, ale zawsze interesujące dla miłośników tego teatru jako etapy odkrywcze na drodze zupełnie dotąd nieznannej. Niewiadomo mi bowiem czy jakikolwiek teatr na świecie wpadł na pomysł dramatyzowania w ten sposób utworów prozą czy wierszem dobywając z nich całą ekspresję słowa, lecz posługując się przy tym plastyką sceniczną tak, żeby pobudzić wyobraźnię słuchacza przez zaznaczenie tylko niektórych motywów za pomocą szczegółów dekoracyjnych, ruchu, barwy i tłumaczących się jasno znaków umownych oraz umownych postaci. Najbardziej udane pod tym względem — choć podlegające pewnym zastrzeżeniom — były inscenizacje Norwida, Conrada, lecz nade wszystko „Eugeniusz Oniegin“, „Rozkaz 269“, a także „Pan Tadeusz“ który zresztą przechodził trzykrotne etapy zaznaczając przez to stopniowo rozwój teatru.

Odbywały się te przedstawienia w przygodnym lokalu ciasnym i nieodpowiednim, pomieszczonym fatalnie wśród zmieszanych woni nie mających nic wspólnego z poezją ani w ogóle ze sztuką... nawet kulinarną.

Nareszcie, po paroletnim wyciekaniu i paromiesięcznych adaptacjach uzyskanego już pomieszczenia dostał Teatr Rapsodyczny siedzibę godną siebie, ze sceną obrotową, widownią amfiteatralną i obszerną szatnią dla widzów, z odpowiednią ilością pokoi dla dykcji i personelu. Ze swej młodości „górnej i chmurnej“ wkroczył w „wiek męski“.

NA inaugurację wybrano zapowiadane już od dawna widowisko „Aktorzy w Elzynie“.

Pomysł oryginalny. Przybyli na dwór aktorzy odgrywają przed królewiczem sceny ze sztuk... Szekspira.

listy  
z  
KRAKOWA

BILANS OTWARCIA

Trudno pisać o sprawach, które się jeszcze nie odleżały, nie wzięte do dyskusji, dopiero czekają na echo. Imprezy artystyczne w sezonie poświęcającym dopiero zaczynają się rozkręcać a sezon jesienny nie przyniósł specjalnych wydarzeń z dziedzin, którymi opiekują się muzy.

Ot, Filharmonii Krakowskiej „urodziły się“ nowe organy, na których można grać już prawdziwego Bacha. Stary instrument przypominający secesyjny kredens, a złośliwi nazywali go hybrydą drumli z okaryną. Dowódcztwo nad orkiestrą objął niedawno Bohdan Wodiczko dobrze znany mieszkańcom Wybrzeża i Łodzi, inteligentny i wymagający dyrygent. Repertuar poprawił się, coraz częściej słyszymy dzieła, za którymi stoją autorytety: Beethoven, Brahms, Szymanowski. Produkowali się różni soliści. Grał u nas: Kędra, Maria i Wanda Wilkomirskie, Ekier, Hoffmann, Szpinalski, Szymonowicz, Danecka i uczniowie WSM; z przyjezdnych świetny skrzypek radziecki — Kogan. Ocenialiśmy zresztą nie po raz pierwszy wykonawców recitali i koncertów. Zdarzały się niespodzianki: niezawodny Szpinalski był wyraźnie niedysponowany, natomiast Ekier jak zwykle świetny w 4 symfonii Szymanowskiego, Czerny-Stefańska doskonały technik i muzyk, Szymonowicz traktujący Mozarta zbyt ciężko i pesymistycznie. Z recitałem wystąpił Zbigniew Drzewiecki i pomimo niezbyt wyszukanego programu, koncert miał powodzenie.

Można zauważyć, że publiczność krakowska otrząsała się z muzyką, wygłasza odważne i coraz trafniejsze sądy, a koncerty odbywają się przy nabitej sali trzy razy w tygodniu. Na pograniczu liry i palety stoją „występy“ wielkich wykonawców w „Domu Plastyków“ Audycje odbywają się z płyt. Brawo Z. P. A. P., nareszcie frontem do muzyki!

Wystawy plastyków krakowskich ciągle jeszcze mają charakter „dla każdego coś miłego“ czyli „gabinet osobliwości“. Obok dobrych płócien wiszą smutne kicz, obok kiczów niezłe obrazy. Wystawa zwana „październikowa“ (odbyła się w listopadzie i w grudniu!) zgromadziła setki prac. Ogólne wrażenie — niezłe, chociaż arcydzieł nie spotkałem. Zajętkowski, Szancenbach i kilku innych juniorów dali więcej inwencji i świeżości: od swoich mistrzów, którzy poza dobrym rzemiosłem okazali na ogół chłód i brak emocji plastycznej. Bieżąca wystawa pejzażu w sali „Domu Plastyków“ potwierdza te spostrzeżenia.

Gdy wkładam ten list do koperty rozlepiają nowe afisze. Filharmonia ogłasza koncert muzyki barokowej; w salach Pałacu Sztuki będzie wystawa dekoracji wnętrz i przemysłu artystycznego.

Ciągle pada śnieg z deszczem To doskonała aura do smakowania życia kulturalnego. Podobno zimy tego roku nie będzie, ale sezon zimowy trwa.



Jan POGORSKI

# NAJMŁODSZE DOMINIUM

**O** KRUTNE legendy, gwałtowne przewroty i krwawe najazdy, kolonizacje, intrygi, pałacowe rewolty, wreszcie sto lat spokojnej biedy i powolnego rozwoju — oto przeszłość kraju, który stare kroniki hinduskie nazywają Wyspą Szczęśliwości. A, w rzeczy samej, kraina ta nie musi być znów tak bardzo nie-

tora wieku później lądują Holendrzy i ofiarowują swe usługi królom Kandy, by wygnać Portugalczyków. Pięćdziesiąt lat krwawych zamieszek i panowanie Holendrów wydaje się być zapewnione. Wreszcie wybija godzina Anglików, którzy znów potrzebują pół wieku, by pozyskać całą wyspę od wybrzeża aż po górzyste

zredukowany do roli symbolu w naszym Cejlończykom nie wadzi. Pewien wysoki dygnitarz rządu Cejlonu powiedział mi ostatnio: „U nas obce panowania trwają zaledwie półtora wieku. Portugalczycy byli naszymi panami przez sto pięćdziesiąt lat. Holendrzy gospodarowali też prawie tyle. Anglicy siedzieli równo sto pięćdziesiąt lat. A najciekawsze jest to, że wszyscy wycofali się, jedni po drugich, tak że nawet nie mieliśmy potrzeby ich wypędzać.”

I P. Fréderix zapytuje: „Czyżby tego rodzaju wypowiedź nie była charakterystyczna dla mentalności ludów azjatyckich?”

Ale francuski dziennikarz myli się. Myli się, bo Cejlon nie reprezentuje typowego stanu ducha narodów Azji. Myli się także, bo narody Wschodu przestały już, w chwili obecnej, czekać i trwać, bo, za przykładem Chin, chwytają za broń, by afirmować własną niepodległość.

## AUREA MEDIOCRITAS

**C** HOCIAŻ — tak jak Indie — Cejlon to bogaty kraj biednych ludzi, wyspa nie zna straszliwych klęsk głodu, które pustoszą raz po raz sąsiedni kontynent. Nie zna też walk i gwałtów, ruchów wyzwoleniec i kolonialnych ekspedycji, jak Indochiny, Malaje, Burma czy Indonezja. Charakter mieszkańców jest raczej łagodny, a gorący klimat hamuje zbytnią aktywność.

W ostatnich latach, przed wojną, administracja angielska starała się usilnie zapewnić klasie średniej jakie takie warunki bytu, zahamować w ten sposób szerzenie się ruchów narodowych. Dlatego postarano się nadać kolonii rodzaj konstytucji oraz iluzję samorządu. Ku zdziwieniu Anglików, w chwili ogłoszenia dominium, Synghalezi mieli już wykształcone kadry urzędnicze i przejście władzy w ręce Cejlończyków odbyło się gładko, bez zgrzytów i zamieszania. Raz jeszcze Anglicy dowiedzieli się, że nie są niezbędni.

Prawie jedna dziesiąta mieszkańców wyspy to katolicy. Istnieje arcybiskupstwo w Colombo i cztery biskupstwa w Jaffna, Kandy, Trincomalee i Galle. Rzecz charakterystyczna, że katolicy cejlońscy walczą w pierwszych szeregach o postęp i sprawiedliwość społeczną, a deputowani katolicy, których jest kilkunastu, głosują bardzo często wspólnie z posłami komunistycznymi, których w Parlamencie zasiada 23.

Naturalne bogactwa Cejlonu (kopalnie manganu, niklu, złota, platyny oraz uprawy ryżu, herbaty, kaka, tytoniu i gumy) pozwoliły mieszkańcom wyspy, choć w niewielkiej części, na poczynienie inwestycji gospodarczych i kulturalnych. I tak ilość analfabetów na Cejlonie wynosi zaledwie 30% mieszkańców, co jest najniższą cyfrą wśród narodów azjatyckich. Istnieje ponad 200 szkół średnich i zawodowych.

Obok tych osiągnięć nie brak jednak obrazów nędzy. Jednym z jej przejawów jest instytucja „Zbieraczy gnoju”. Ludzie ci zbierają wyschnięty nawóz krowi, by odsprzedać go następnie za grosze plantatorom herbaty lub tytoniu.

Drzemiąca w „pożłocanej przeciętności” wyspa, rządzona przez mieszczańską klasę kupców i drobnych plantatorów, stanowi wyjątek wśród budzących się, dynamicznych, narodów Azji, wyjątek, potwierdzający regułę.

Jan Pogorski

## WIECZORY POD LIPĄ

### „Życie tego wymaga”

**W** SWOIM kapitalnym „Pożegnaniu jesieni” przeprowadza Stanisław Ignacy Witkiewicz bardzo pożyteczne rozróżnienie pomiędzy filozofią we właściwym tego słowa rozumieniu a taką drobniutką, na codzienny użytek wszelkiego rodzaju półinteligentów i niedokształconych inteligentów przeznaczoną „filozofią”. Udała się Witkacemu ta „filozofia”. Tak jak Irzykowskiemu „tabateria”, a Boyowi „bronzownictwo”.

Nie o wspomnianie zasług autora „Pragmatystów” i „Tumora Mózgowicza” chodzi mi jednak tym razem, ale tylko i wyłącznie o „filozofie”, jako że o pewnej jej odmianie będzie mowa w niniejszym felietonie.

Kłóż z nas nie słyszał ślicznego, ślicznutkiego powiedzenia: „Życie tego wymaga”? Powiedzenie to należy do najbardziej rozposzczepionych maksym praktycznej „filozofii” mieszczuchów oraz ludzi wszelkiego innego stanu ukształconych duchowo na mieszczańską modłę.

Co charakteryzuje wszystkich wyznawców „życiowości”? Przede wszystkim lek przed idealami. Bój się ich nie mniej niż złego psa. Ale idei uniknąć nie podobna. Są one silną napędową siłą, ruchem wyzwajającym ukryte zapasy energii. Przenikają one całą ludzką rzeczywistość i wprowadzają ją w niustanną wibrację. Krzyżują się i ścierają w trwającej bez przerwy walce. Nie pozwalają ludziom siedzieć bezczynnie i gapić się obojętnie na to, co dzieje się dookoła.

Dlatego właśnie ludzie „życiowi” nienawidzą idei. Nienawidzą jej jednak na różne sposoby. Z grubszą biorąc można wyodrębnić w ich stosunku do niej dwie zasadnicze tendencje. Pierwsza z nich, którą możemy nazwać minimalistyczną, przyjmuje za podstawowy aksjomat swojej „filozofii” fakt, że idee nie uwolnią nas od konieczności spożywania pewnej ilości chleba, kurtofilii, mięsa i nabiału, kupowania odcieży i obuwia oraz ponoszenia jeszcze rozmaitych innych wydatków. Skoncentrowanie uwagi na tak pojętym świecie faktów i rzeczy wyklucza, oczywiście, możliwość „romantycznego” myślenia czy działania, tzn. możliwość brania serio jakichkolwiek idei poza tymi, na których opiera się struktura danego kręgu społecznego, taka sama jak za ojców i dziadków, gwarantująca możliwość uzyskiwania dochodów nieco przewyższających ogólną sumę koniecznych wydatków. Dodaj tu należy, że idee nie traktuje się w teorii jako nienaruszalną tabu, w praktyce zaś obchodzi się je na wszelkie możliwe sposoby (dbać o najwyższą o zachowanie pozorów prawomysłowości). Wszelkie zmiany istniejącego stanu rzeczy oraz nowe idee i poglądy oceniane są z punktu widzenia ewentualnego ich wpływu na cenę artykułów spożywczych, własności nieruchomości oraz na politykę podatkową. Z owego minimalizmu wyrasta swoisty konserwatyzm, lekceważący wszelką nowość i stale wzdychający za przeszłością. Ponieważ jednak konserwatyzm ten traktuje rzeczywistość jako wyłącznie sumę faktów i rzeczy, idee zaś uważa za urojone romantycznych półgłówek lub za przenośnie o nowej przydatności praktycznej (jeżeli np. służą wpaianiu przekonania o potrzebie szacunku dla własności prywatnej), niezgodny jest do stawiania skutecznego oporu przeobrażającym rzeczywistość ideom. Kreci nosem, kłwa palcem w bucie, ale (ponieważ „życie tego wymaga”) jak może udaje, przystosował się do nowych warunków.

Inaczej ma się rzecz z „życiowcami” maksymalistami. Ci za cel życia ludzkiego uważają tzw. robienie kariery. Podobnie jak i minimaliści nie przyznają oni idealom żadnej ważności obiektywnej, ale gotowi są do posługiwania się każdą z nich, jeżeli może im to zapewnić sukces życiowy. Mawia się o nich, że „mują nosa”, gdyż potrafili zazwyczaj w pare umknąć z tonącego okrętu i uciepić się do „robiczej kariery”.

Są oni na ogół daleko sprytniejsi i obrotniejsi, ale dlatego też daleko niebezpieczniejsi niż minimaliści, których się stanowi lena obojętność na wszystko, co dzieje się poza ich podwórkiem i unarło niechęć do jakichkolwiek zmian, maskowana czysto zewnętrznym przystosowaniem się do istniejących warunków. Wyznawcy „życiowości” maksymalizmu, traktując idee jako narzędzia i środki działania w drodze do osobistej kariery, zatrzymać atmosferę życia publicznego oportunistom i karierowiczostwem, kompromiować sprawę, której niby to służą. Ale czyż to ich wina? „Życie tego wymaga”!

Nie musi zresztą owo hasło brzmieć koniecznie w ten sposób. „Filozofia” różni się od filozofii tym (ale nie tylko tym!), że nie przykłada zbyt wielkiej

wagi do ścisłości i jasności sformułowań. Były tylko można się było jakoś tak z grubszą zorientować o co chodzi. „Filozofia” wolna jest od pedanterii i sztuczności „oficjalnej” filozofii, nie wiele robi sobie z nudzawstwem tej jakiejś tam logiki, lekką stopą płasą pośród problemów, z gracją i elegancją właściwą wszystkim „dobrze ułożonym” żonglującym pojęciami. Jest to uroczą, prosta, czarująca wdziękiem naturalności i umiejętnością tzw. „życiowego” podchodzenia do wszystkich spraw światłowa osoba.

Toteż „filozofia” nie wymaga, żeby koniecznie było „życie tego wymaga”. Może być również „Trzeba się przystosować do okoliczności”, „Cóż robić? Takie czasy”, „My światła nie zmienimy”, „Mądry się zawsze jakoś urządź”, „Jak nie można przeskoczyć, to trzeba podlegać”, „Głową muru nie przebijesz”, „Pokorne ciele dwie matki ssić”, „Były przeżyć”, „Były handel szedł”, „Były do wiosny”, „Śmierć frajerom” itd., itp. — jak kto woli. „Do koloru i do wyboru”.

Tyle różnych sformułowań, taka bogata skala tonów uczuciowych i odmian stylu, a treść zawsze ta sama: trzeba się umieć urządzać. Oto podstawowa formuła „życiowej mądrości” o Archimedesowy punkt oparcia. „Urządzić się” — w tym tkwi sedno „realnego”, „zdrowego”, „trzeźwego” poglądu na świat. Wszelka myśl, wszelka idea, która nie da się sprowadzić do tej uniwersalnej formuły, to albo „romantyzm”, obława „nieżyciowości”, albo zgola „lipa”.

Trzeba tu gwoli sprawiedliwości, otwartości i uczciwości przyznać, że wyznawcy „życiowej” „filozofii” nie szerzą bynajmniej tymi złośliwym określeniami w sposób głośny. O nie! Bywają oni jeżeli nie wykształceni, to w każdym razie doświadczeni — jak to się mówi — „otrząskani” i potrafią uzasadnić swoje racje argumentami brnymi z najbardziej realnej rzeczywistości. Wiedzą oni to i owo o Mickiewiczzie (całe życie biegał klepał), o Galileusz (tyle miał z tej swojej mądrości, że mu ślepa wydułabali), o Norwidzie (na wet (skończył w przyszłości). Az „serce rośnie”, gdy się patrzy, jak największe duchy ludzkości zbierają się przed trybunałem „życiowego” sądu, by zeznać: „Frajerzy z nas byli i tyle! Nie umieliśmy się urządzać”!

Nie, nie umieli. Nie byli „życiowi”. Nie potrafili powiedzieć sobie w odpowiednim momencie: „Życie tego wymaga” i „My światła nie zmienimy”. Uparli się, żeby stawiać wymagania życiu i zmieniać świat. I dzięki temu właśnie pchali go naprzód.

„Życiowi” i „trzeźwi” patrząc na te ustłowania wstruszyli znacząco ramionami i pukali się znacząco palcem w czoło. Ale nie przeszkażdało to im bynajmniej w eksploatowaniu plonów pracy wszelkich „romantyków” i „fantastów”.

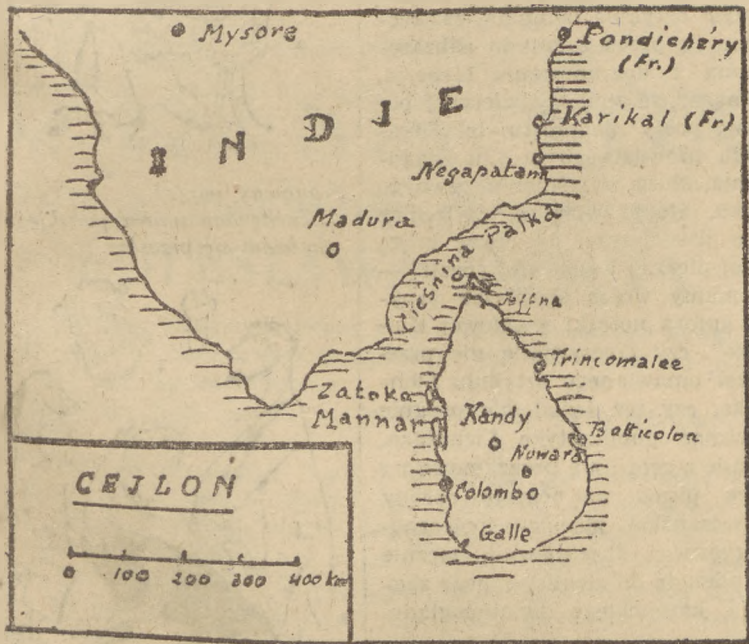
Psychologiczny kościół „filozofii” „życiowej” stanowi bowiem harmonijna i zgodna współpraca oportunistów, egoistów, sprytu i chęciowości. Psychologia parazytów jest podglebiem dla filozofii spod znaku „życie wymaga”. Jeżeli kiedyś solitery rozwinę się i wydoskonala do tego stopnia, że będą mogły pisać dzieła filozoficzne, to na pewno jakiś Arystoteles tego znanego plemienia uszczęśliwi świat książką „O sztuce urządzania się”.

Atoli zle idą czasy na solitery, pluskwy i na wszelkie pasożyty roślinne. Rozwija się medycyna i higiena. Racjonalizuje się powoli, ale stale życie świata. Coraz mniej starych, sordochwalnych, rozpływających się chalupe, w których wspaniale wiodło się wszelkim odmianom pleśni i robactwa, a bardzo kiepsko właścicielom. W świecie, w którym miernikiem społecznej wartości jednostki będzie nie w l a s n o ś ć, ale p r a c a, nie różowo rysuje się przyszłość parazytów.

Toteż pomyślmy znowu o ich doli. Pomyślmy, co robić, żeby nareszcie w sposób ostateczny i radykalny uniemożliwić im „urządzenie się” na cudzej skórze i cudzym koszcie. A także wynowoczyć bezwzględnie winne „życiowej” „filozofii” parazytów.

Niektórzy psychologowie twierdzą, że w każdym z nas tkwi instynkt walki i akrecyjności. Oto świetna okazja, żeby je zaspokoić i to bez grzechu. Bój na chwale, ludzimi na półkach. Walka walka walka! Bez miłostki! Bez pardonu! Śmierć filozof parazytów! Śmierć wszelkiemu „Trzeba się przystosować”, wszelkiemu „były przeżyć” i „Śmierć cieleciu, co chle ssać dwie krowy, a na całą oborę rzeź”. „Śmierć frajerom”! Tym razem bądźmy „bez lez, bez filozofii”. Ż y c i e t e g o w y m a g a !

Bogumił Kołec



gościnną, skoro, na obszarze sto razy mniejszym niż Australia, żyje prawie równa ilość ludności.

### OD ADAMA DO ANGLIKÓW

**W** EDLE legend głoszonych przez pierwszych chrześcijan cejlońskich, których spotykał na wyspie już św. Franciszek Ksawery, Adam, po wypędzeniu z raju i długiej, samotnej tułaczce, osiadł tu właśnie, podczas gdy Ewa pokutowała za swój grzech na kamienistej pustyni arabskiej, gdzie, po dziś dzień, Beduinie czczą jej rzekomy grobowiec. W każdym razie najwyższy szczyt Cejlonu nosi nazwę Adamowej Góry, choć krajowcy pokazują tam kamienię odcisk stopy, którą zostawił, podczas pielgrzymki, świątobliwy Budda.

Według hinduskiej mitologii władca Cejlonu, Ravana, miał porwać indyjską księżniczkę, Sitę, za co mąż jej, Rama, spuścił wyspę ogniem i żelazem. W parę wieków później (wciąż jeszcze w epoce mitycznej) najechał wyspę wojowniczy szczer Arjów, którym przewodził książę z rodu Lwów (Lew — Singha, stąd Synghalezi). Niebawem zjawiają się Tamilowie, którzy toczą długotrwałe wojny z dynastią Synghalezi. To jest właśnie owa Wojna Olbrzymów, której symbolem są wieczne zmagania między tamilem Elalą a aryjczykiem Dutugumenem. Po każdym zwycięstwie Aryjczyka dla Cejlonu zaczyna się nowy okres świetności i rozkwitu. Buduje się wówczas pałace, zamki, olbrzymie baseny i zbiorniki wodne, z których wiele, jeszcze po dziś dzień, służy do nawadniania suchych okolic centrum wyspy.

Wiek mijają, lecz los Wyspy Szczęśliwej pozostaje niezmienny. Ludzie z bliższych i dalszych części świata pożądają jej i toczą o nią zaciekłe wojny. Cejlon staje się kolejno łupem Arabów, Hindusów, Chińczyków, Malajów. W pierwszych latach XVI wieku zjawiają się portugalscy Konkwistadorzy. W pół-

wnętrze. Od 1848 r. Cejlon jest kolonią Korony Brytyjskiej przez lat równo sto.

Marco Polo, któremu, po podróżach azjatyckich, odległości troiły się w oczach, podawał obwód Cejlonu na cztery tysiące kilometrów. Królowa Wiktoria miała o swej kolonii skromniejsze wyobrażenie i zaproponowała rządowi francuskiemu zamianę Cejlonu za francuskie miasto w Indiach Pondichery. Propozycja była niebezpieczna: guma i herbata nie stanowiły wówczas bogactwa wyspy, toteż rząd III Republiki odmówił, dając jeszcze jeden dowód braku poczucia geografii, który cechuje ogół francuzów.

### COCKTAIL NARODÓW I NIEPODLEGŁOŚĆ

**P** ODCZAS ubiegłej wojny parę bomb japońskich spadło na port stolicy cejlońskiej, Colombo. Był to najdalej wysunięty punkt, do którego dotarły samoloty Nipponu na Oceanie Indyjskim. Japońskie podboje w południowo-wschodniej Azji objęły dokładnie te obszary na których roito się od chińskich emigrantów. Cejlon, jak i Indie, nigdy nie był terenem emigracji chińskiej. Toteż nawet dzisiaj, ilość kupców czy kulisów chińskich w portach Cejlonu jest nieznaczna. Na siedem i pół miliona mieszkańców wyspy, dwie trzecie stanowią Synghalezi, jedna czwarta to Tamilowie, pochodzący z Indii Południowych, około pół miliona muzułmanów, mieszkańców Arabów z Hindusami, kilkadziesiąt tysięcy potomków Holendrów t. zw. tu „Buergherów”, których matki i babki były tubylkami, wreszcie kilkaset tysięcy metysów portugalskich, którzy prawie nie różnią się od ludności tubylczej. Parę tysięcy Anglików tworzy, jak wszędzie w koloniach, zamknięty, odosobniony klan „białych”.

W lutym 1948 r. Rząd Brytyjski nadał wyspie statut Dominium, niemal identyczny, jaki posiada Kanada i Australia. Anglicy stracili prawie wszystkie stanowiska w administracji, lecz zachowali wszystkie pozycje handlowe. A co myślą o niepodległości sami Cejlończycy? Ciekawą wypowiedź notuje francuski dziennikarz Pierre Fréderix w swojej książce „L'Asie du Sud à vol d'oiseau”. (Południowa Azja widziana z lotu ptaka”).

„Niezależność, niepodległość...? Oczywiście. Przedstawiciel brytyjski

## POPIERACIE

Katolicki Uniwersytet

Lubelski

# NAD LIEBERTEM, LICHNIAKIEM I... „NOWĄ KULTURĄ“

RUBRYKA „Komentarzy” z ostatniej strony „Nowej Kultury” jest już nam dobrze znana. Można w niej bez trudu przeczytać „rewelacyjne” sądy w najbardziej skondensowanej formie.

Zajmiemy się, tak dla przykładu, ostatnim z licznych „komentarzy” poświęconych osobie Zygmunta Lichniaka (N. K. nr 3.95). Nawiązując tam do dyskusji o twórczości Gałczyńskiego autor tej notatki, p. „kos” podsuwa Z. Lichniakowi następujące wnioski ideologiczne zawarte ponoc w artykule „Nad Liebertem” („Dziś i Jutro” nr 2-320):

„Omówieniu drogi życiowej i twórczości Jerzego Lieberta poświę-

ca Lichniak prawie dwie kolumny, gęsto przetkane cytatami z listów poety. Wszystko po to, aby po całym szeregu narastających zachwy- tów dojść do wniosku, że Liebert tylko dlatego mógł osiągnąć pełny wyraz najczystszej poezji, ponieważ „nie był w żadnej grupie, nie czuł się związany z żadną „orientacją”, nie był wyznawcą i bojownikiem żadnego programu politycznego. Był sam”.

O ile dobrze rozumiemy sens tego zdania, czytelnicy niech będą arbitrami w tej sprawie, oznacza ono tyle, że Lichniak głosi tezę „sa motnictwa” jako swój program, gdyż bez tego nie można osiągnąć

„pełnego wyrazu najczystszej poezji”. Interpretacja poprawna, nieprawdaż?

A teraz konfrontacja z tym co Lichniak naprawdę napisał. Będziemy zmuszeni raz jeszcze wydo- być kwintensencję myśli tego artyku- kułu, wymaga tego waga zawarte- go w notatce N. K. zarzutu.

Lichniak, pisze: „Wraz z katoliz- mizmem autora przyszedł „Koły- sanka Jodłowej” dojrzenia jego szła chętny błąd odosobnienia, rośnie na mocnych fundamentach świą- tynia pełna Boga, która coraz to bardziej staje się eremem pustel- niczym”. Podkreślamy — szlachet- ny błąd!

Oto w dalszym ciągu rozprawy ocena tego błędu: „Tu chyba kryje się pierwszy zarys idealistycznej skazy na religijności Lieberta, tu chyba tkwi rdzeń niebezpieczeń- stwa, polegającego na niezgodnym ze spirytualizmem chrześcijańskim lekceważeniu zewnętrzności”. Pod- kreślamy: idealistyczna skaza na religijności, rdzeń niebezpieczeń- stwa, niezgodność ze spirytualiz- mem chrześcijańskim”.

W dalszym ciągu Lichniak ana- lizuje drobniaczko konsekwencje, wypływające z tego podstawowego zniekształcenia katolickiego świa- topoglądu. Oto one:

„Poeta jest sam na sam z Bogiem. Społeczeństwo, naród, ludz- kość są obok niego, poza nim, być może że i w nim są jakoś skonden- sowane i przetłumaczone z kate- gorii socjologicznych na kategorie moralne, ale obiektywnie „stwier- dzić się daje jedynie fakt jego zu- pełnego niemal absenteizmu spo- łeczno-politycznego”. Podkreślamy: niemal zupełny absenteizm społecz- no-polityczny.

Wreszcie na zakończenie — Lich- niak, analizując wszystkie elemen- ty mentalności Lieberta, podkre- ślając jego uwarunkowania środo- wiskowe, stwierdza ostatecznie, że poetę cechowała konsekwencja po- stawy, która, przyjmując raz błęd- ne założenia światopoglądowe, za- łożenia skażone idealizmem, mu- sięła prowadzić do fałszywej po- stawy społecznej. „Wystarczy stwierdzić, sumuje Lichniak te a- nalizy, że jako poeta konsekwencji nie wstydział się on przyznać do że-

niującego dzisiaj „desinteresse- ment”, które budzi żal, ale ukazu- je jednocześnie wielką logikę, wiel- ką zgodność poezji z życiem, która, jak się okazuje, chociaż trwa po- nad czasem, z określonego czasu wyrasta i jego piętno nosi”.

Liebert i jego poezja nosiła piętno jego epoki i jego czasu — piętno mieszczańskie.

Jesli jeszcze dodamy, że w tym samym artykule Lichniak, zastrze- gając się przed zarzutem odbrazo- wiania i degradowania Lieberta, tłumaczy, że analiza społecznej po- stawy poety „po prostu służy uka- zaniu prawdziwego profilu zagad- nienia, służy wyjaśnieniu pewnego braku, który zwłaszcza czytelnicy dnia dzisiejszego odczuwać mogą w tej pięknej i głębokiej poezji” — to mamy wręcz obowiązek zapy- tać autora notatki w „Nowej Kul- turze” czy rzeczywiście nie prze- czytał omawianego artykułu Lich- niaka, czy też świadomie pragnie zepchnąć publicystykę Lichniaka, łącznie z całą linią programową na szczebel pisma, na pozycję obrony mieszczańskiej ideologii społeczno- politycznego absenteizmu, łącznie z tendencją do idealistycznego ska- żenia katolickiego światopoglądu.

„Dziś i Jutro” — propagatorem społeczno-politycznego absenteiz- mu, zwolennikiem idealistycznej interpretacji katolicyzmu? Nonsens oczywisty. Komu i do czego może być potrzebne sugerowanie czegoś podobnego?

Artykuł Zygmunta Lichniaka był fragmentem większej całości. Nie uwzględniając tego mógł kry- tyk „Nowej Kultury” próbować za- rzucić brak pełnej sylwetki artys- tycznej Lieberta. Mógł próbować udowodnić, iż poezja obciążona ten- dencją absenteizmu nie ma do- strzeganych przez Lichniaka war- tości artystycznych. Mógł... Istotne jest jednak, iż autor tej notatki na niepewnych fundamentach bu- dował swe oskarżenia.

Czas najwyższy z tą metodą skoń- czyć. Nasza tak obszerna odpo- wiedź ma temu służyć, by wreszcie przekonać, że rubryka „komenta- rzy” jest najmniej właściwą areną dla ideologicznych i kulturalnych polemik.

W. Żeg.

## Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

12 STYCZNIA b.r. minął rok pracy Zespołu Filharmonii Warszawskiej Rok pracy bardzo wy- tejonej, ciężkiej, ale uwieńczony sukcesami. Powstała w ubiegłym roku z podziału orkiestry Pań- stwowej Opery i Filharmonii w Warszawie, orkiestra Filharmonii prze- żywała początkowo ogromne trudności organizacyjne, jak np. brak odpowied- niego lokalu, instrumentów, luki w obsadzie itp. Trudności te zostały poko- nane i 12 stycznia 1951 r. odbył się inauguracyjny koncert nowej orkiestry pod batutą jednego z naszych najlep- szych dyrygentów, Witolda Rowickiego.

Przyjęta bardzo życzliwie przez war- szawską publiczność młoda orkiestra pracowała przez rok cały nad scemen- towaniem swego zespołu. Osiągnięta, trzeba przyznać bezstronnie, bardzo dużo, nabrała siły i rutyny, a jej mło- dzieńczy zapal, którego nie utraciła po- mimo tak poważnego, bo aż rocznego wieku, pozwala z nadzieją i zauraniem patrzeć w jej przyszłość.

Bardzo czynny udział w Finale Fe- stiwalu Muzyki Polskiej, udział w młodzieżowym Zlocie Berlińskim, dzie- siątki koncertów, szereg prawykonań kompozytorów polskich, doskonałe wy- konanie III Symfonii Szymanowskiego (Festiwali) — są to osiągnięcia, nie podkreślone nagrodą Festiwalu Muzyki Polskiej, przyznana zespołowi w roku bieżącym. Po rocznej egzystencji orki- estra przechodzi do rzędu naszych najlepszych zespołów. Jest to zasługa tak zbiorowego wysiłku zespołu jak i poszczególnych jego członków z mło- dym i bardzo utalentowanym dyrygen- tem Witoldem Rowickim na czele.

Na jubileuszowy koncert złożyły się utwory: Ludwika van Beethovena — V symfonia (C — Mol.) op. 67, Feliksa Bartholda, Mendelssohna — koncert skrzypcowy E — Mol. op. 64 oraz Ma- rycego Ravela — Bolero. V symfonia Beethovena jest jego najpotężniejszą symfonią. Całą siłą swego geniuszu kompozytor opisuje w niej dramatyczne zmagania człowieka z losem. Te upla- stycznione wstrząsającymi do głębi tonami tragiczne zmagania nie posiadają

jednak znamion klęski i rezygnacji, a wręcz przeciwnie, są pełne wiary w ra- dosne zwycięstwo.

Interpretacja V symfonii odbiegała od utartej sztammy, różniła się bardzo od tej, jaką nam ostatnio zademonstrował Abendroth — była jednakże bardzo interesująca, podkreśliła silnie emocjo- nalny charakter utworu.

Koncert skrzypcowy Mendelssohna jest jednym z utworów tego kompozy- tora, które przetrwały do dziś w repu- tacji koncertowym. Jest jednym z najlepszych dzieł Mendelssohna, a jest ciekawy jeszcze i dlatego, że chociaż autor jego nie był skrzypkiem odpo- wiada w najdrobniejszych szczegółach technice i charakterowi skrzypiec. Utwór odznacza się ogromną równowa- gą w traktowaniu solowych skrzypiec i orkiestry, posiada duży ładunek liryz- mu, brak w nim jednakże jakichś gło- szczych przeżyć i podłoża problemowego, tak charakterystycznego dla twórczości Beethovena.

Solistą koncertu, Fryderyk Sadowski, wykonał swą partię, wykazując wysoki poziom techniczny, duże wyczerpie i precyzję interpretacji.

Ravel jest zaliczany do grupy impres- sjonistów, których czołowym przedsta- wicielem jest Claude Debussy. Często nawet stawia się go obok Debussy'ego, jest to jednak duże nieporozumienie, którego przyczyną tkwi tylko w ana- logiach technicznych, zacierających na pierwszy rzut oka różnicę między nastrojowym, marzycielskim temperamen- tem artystycznym Debussy'ego i pow- ściągłym w uczuciach traktującym muzykę jako precyzyjne rzemiosło Ravelem. Ravel jest typowym kompo- zytorem, u którego rozsadek, ład i umiar stanowią główne zasady twór- czości. Najważniejsza jest dla niego barwa dźwiękowa, a utwór muzyczny stanowi pełna suma wrażeń dźwięko- wych, działających czysto zmysłowo.

Bolero Ravela stało się dla orkiestry i dyrygenta popisowym numerem programu. Orkiestra wykazała w nim swo- je możliwości i zademonstrowała wszystkie zdobycze swej rocznej pracy zespołowej.

KONCERT w dniu 18 (20) stycz- nia r.b. poświęcony był muzy- ce Mozarta (wykonano uwer- turę do opery „Wesele Figara” oraz koncert fortepianowy C-dur) i M. Mussorgskiego („Obrazki z wysta- wy”).

Uwertura do „Wesela Figara” na leży do rzędu uwertur, które cho- ciaż związane z operą stanowią je- dnak całość samą w sobie i samo- dzielnie wchoǳą do repertuaru koncertów symfonicznych.

Koncert fortepianowy C-dur nie należy do najpopularniejszych i naj- częściej wykonywanych utworów Mozarta, mimo że zawiera wiele prostoty i pogody, dzięki czemu mo- żna go zaliczyć do najbogatszych i najlepszych pod względem inwen- cji muzycznej dzieł tego kompozy- tora.

Solistką koncertu była znana pia- nistka, laureatka i nagrodzona na os- tatnim konkursie Chopinowskim, Halina Czerny-Stefańska. Jej wyra- zista i subtelna interpretacja na- dała temu klasycznemu utworowi pewien rys poetyczności, nie za- cieraając jednak socyficzności cha- rakteru muzyki Mozarta.

Ostatnim utworem programu by- ły „Obrazki z wystawy” Modesta Mussorgskiego. Ten piękny i oryginalny, stanowiący inspirację dla

twórczości wielu innych kompozy- torów utwór na fortepian, został opracowany i zinstrumetrowany na orkiestrę przez Maurycego Ravela. Jest to w zasadzie cykl miniatur, będących ilustracją muzyczną wra- żeń z wystawy obrazów przyjaciela kompozytora. Każda z miniatur sta- nowi pewną całość; łączy je powta- rzające się w rozmaitych wersjach motywy, nazwany przez kompozyto- ra „Promenada”. „Obrazki z wysta- wy” odznaczają się obrzymym bo- gactwem inwencji i nastrojowości, oryginalnością środków harmonic- nych. Przystawienie go na orkiestrę i instrumentacja Ravela, mimo og- romnego wczucia się przez tego kompozytora w opracowywany u- twór, nadaje mu jednak bardzo ravelowski charakter.

Orkiestra pod dyktando debiutu- jącego tym koncertem młodego dy- rygenta Stefana Marczyka, niestety, nie brzmiała dobrze, szczer- nie uwydatniło się to w uwertu- rze do „Wesela Figara”, która wy- padała mdło i bezbarwnie. Młody dy- rygent musi jeszcze popracować nad sobą, nabrać więcej pewności siebie, przejawiać więcej życia i roz- budzić w sobie zdolność przewo- dzenia tak niezbędną przy kierowaniu orkiestrą.

Z. B. K.

## »Wiek męski« Teatru Rapsodycznego

(Dokończenie ze str. 8)

uwagę i wytwarzało od razu na- stroj pożądany. W obecnym przed- stawieniu momenty, w których Hamlet obserwuje grę aktorów nie zasiadając na miejscu oficjalnym, ale z boku, nieznacznie, tłumaczyły lepiej niż słowa stan jego duszy. Najbardziej wyraziście pod tym względem była scena z Makbetem, w czasie której dojrzenia ostatecz- nie w jego myśli plan działania.

NA ostatku parę cierpkich u- wag co do programu rozdawa- nego widzom. Przede wszystkim raz w nim pewien barbarzyzm or- tograficzny. Słowa „Elsinore” i „Montecchi” tak są powszechnie znane, a tak łatwe do przyswoje- nia tym, którzy ich nie znają, że przerabianie ich na „w Elsynorze” i „syn Montekiego” (!) raz jakimś forsownym popularyzowaniem. Przecież idzie o to, żeby widza pod- nosić do pewnego poziomu wy- kształcenia, a nie traktować go jak

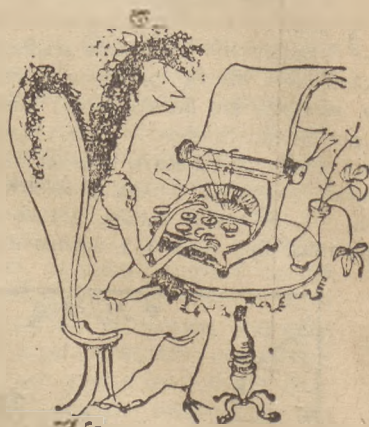
dziecko. (W ostateczności niech by już był bodaj Elsynor, a nie to szkaradne „z”). Sam tekst progra- mu wykazuje odczytanie w szekspi- rologii znaczne, ale cokolwiek jed- nostronne. Brak w nim — nie mó- wiąc już o autorach cudzoziem- skich — nazwisk naszych hamle- tologów takich jak Matlakowski, Piniński, Wyspiański. Tutaj dodam jeszcze, że chociaż taras z półko- listymi schodami był bardzo efek- towny, widzowi polskiemu może miłsze by było, zgodnie z tak oryginalnym, a tak trafnym poetycz- nie pomysłem Wyspiańskiego, zo- baczycy Hamleta na krążankach wawelskich...

Lecz to są rzeczy drugorzędne. Całość stanowi duży krok naprzód i pozwala mieć nadzieję, że ten „wiek męski” stanie się dla Tea- tru Rapsodycznego drogą do coraz to pełniejszych osiągnięć.

Alina Swiderska

## O WSZYSTKIM PO TROCHU

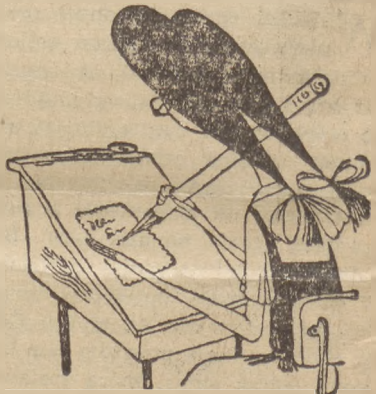
### Z życia redakcji



Szanowny panie!  
„...Zachęcona tonem pańskiego listu  
ośmielam się przestać...”



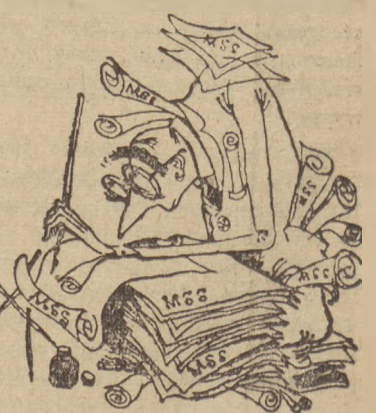
„...lektura tej noweli tak ubawiła  
moich przyjaciół, że namówiono  
mnie, abym zwrócił się do Pana...”



„... mam zaledwie piętnaście lat”



„...wraz z rękopisem załączam listę  
powodów dla których ewentualnie  
mogłby on zostać odrzucony. Wy-  
starczy jeśli pan redaktor podkreśli  
właściwy powód...”



„... jestem rzadko spotykanym zbi-  
raczem odrzuconych rękopisów. Wy-  
daje mi się, że artykuł na ten  
temat...”